

# Niebo istnieje, naprawdę!

Niesamowita historia małego chłopca o wyprawie do nieba i z powrotem

Tłum. Olga Pieńkowska-Kordeczka

## Słowa uznania dla *Niebo istnieje, naprawdę!*

Poruszająca historia małego chłopca, który w szczerzy, prosty i dziecięcy sposób opisuje swój pobyt w niebie. Każdy powinien przeczytać tę ciekawą, przekonującą książkę – dla tych gotowych na podróż do nieba będzie inspiracją; niepewnym zaś mały chłopiec wskaże słuszną drogę. Jak powiedział Colton: *Niebo istnieje, naprawdę.*

— Don Piper

Lektor i autor: *90 minut w Niebie*

Raz na jakiś czas na moje biurko trafia rękopis o intrygującym tytule – tak właśnie było z książką *Niebo istnieje, naprawdę.* Początkowo myślałam, że szybko ją przekartkuję. Nie mogłam się jednak od niej oderwać i przeczytałam ją o deski do deski. Byłam pod wrażeniem opisywanej historii. Ta książka nie tylko sprawia, że człowiek umacnia swoją miłość do Boga i mniej boi się śmierci, ale również pomaga zrozumieć, czym jest niebo. Nie przesiaduje się tam, śpiewając „Kumbaya” przez tysiąc lat. Jest to miejsce, w którym człowiek rozpoczyna życie w pierwotnej jego formie, jak przed upadkiem ludzkości. Polecam tę książkę każdemu, kogo niebo w pewien sposób intryguje lub niepokoi i kto zastanawia się, jak wygląda życie wieczne.

— Sheila Walsh

Lektor Women of Faith (Kobiety wiary) i autorka: *Kiedy kobieta ufa Bogu, dzieją się cuda*

Niebo nie jest nagrodą pocieszenia. To miejsce, które staje się wiecznym domem wszystkich wierzących. Serdecznie zapraszam do podróży z Coltonem i Toddem, podczas której wspólnie odkrywają cuda, tajemnice i splendor królestwa niebieskiego. Historia ta daje nadzieję na przyszłość i sprawia, że życie ziemskie nabiera większego znaczenia.

— Brady Boyd

Starszy Pastor, New Life Church, Colorado Springs

Napisano wiele książek o doświadczeniach ludzi, którzy stanęli u progu śmierci. Nie przeczytałem większości z nich, ponieważ nigdy nie byłem pewien, czy mogę ufać autorowi i wierzyć w jego szczerść. Jednak tę książkę pochłonałem od deski do deski niemalże jednym tchem. Dlaczego? Ponieważ osobiście znam autora i mam do niego zaufanie. Pisząc historię swojej rodziny, Todd Burpo sprawia nam fantastyczny prezent: razem z synem odkrywa przed nami tajemnicę wieczności i pozwala spojrzeć na życie po drugiej stronie oczami małego chłopca.

— Dr Everett Piper

President, Oklahoma Wesleyan University

Autor: *Why I'm a Liberal and Other Conservative Ideas*

W tej pięknej, wspaniale napisanej książce czteroletni Colton podczas narkozy przeżywa tak zwane „doświadczenie śmierci”, czyli NDE\*. Badania, które przeprowadziłem na grupie 1,600 osób, potwierdzają, że NDE często występuje u bardzo małych dzieci podczas narkozy. Pomimo wielu szczegółowych studiów nad NDE uważam historię Coltona za nadzwyczajną inspirację dla chrześcijan z całego świata.

— dr med. Jeffrey Long

Założyciel Międzynarodowego Stowarzyszenia Doświadczenia Bliskiego Śmierci

Autor: *Co cię czeka po śmierci. Naukowe dowody na istnienie życia po życiu*

Pięknie opisana namiastka nieba – przekona tych, którzy wątpią i poruszy tych, którzy wierzą.

—Ron Hall

Współautor: *Same Kind of Different as Me*

Niektóre historie muszą zostać opowiedziane, po prostu żyją własnym życiem. Książka, którą macie przed sobą, jest właśnie jedną z nich. Nie zatrzymacie jej na długo tylko dla siebie – przeżycia Coltona niespostrzeżenie wkradną się w wasze rozmowy w poszukiwaniu kogoś, kto jeszcze o nich nie słyszał. Wiem to z własnego doświadczenia, ponieważ przydarzyło się to i mnie.

— Phil McCallum

Starszy Pastor, Evergreen Community Church

Bothell, Washington

---

\* NDE – Near-Death Experience (przyp. tłum.)

Biblia opisuje królestwo niebieskie jako dom Boga. Jest to prawdziwe miejsce, które staje się wiecznym domem każdego, kto odda swoje życie w ręce pana. W tej książce Todd Burpo opisuje doświadczenia swojego małego syna z operacji usunięcia wyrostka robaczkowego. Jest to szczerza, wzruszająca relacja dodająca otuchy wszystkim wierzącym w życie wieczne.

— Robert Morris

Pastor, Gateway Church, Southlake, Texas

*Niebo istnieje, naprawdę* jest wspaniałą książką, która pokazuje, jak ważna w życiu jest wiara – zarówno dla dzieci, jak i dla dorosłych.

— dr med. Timothy P. O'Holleran

Historia Coltona mogłaby znaleźć się w Nowym Testamencie. Jednak w dwudziestym pierwszym wieku Bóg postanowił przemówić do nas przez małego niewinnego chłopca, wraz z którym odkrywamy tajemnice nieba. Opis jest bardzo atrakcyjny, a prawda zaskakuje i sprawia, że chcemy wiedzieć więcej.

— Jo Anne Lyon

Superintendent Generalny, Kościół Wesleyański

Bóg jest tak twórczy i wiarygodny! Odkrycia tej książki potęgują tę prawdę i ukazują ją pod innym kątem. Znam Coltona od urodzenia. Już jako małe dziecko wykazywał zainteresowanie Bogiem i wiarą. W wieku trzech lat, siedząc mi na kolanach, zapytał, czy chciałbym pójść do nieba po śmierci. „Musisz mieć Jezusa w sercu” - powiedział. Ta książka rzuca nowe światło na rzeczywistość Boga, który często wydaje się niedostępny, a jednak ujawnia się w najbardziej nieoczekiwanych dla nas momentach.

— Phil Harris

Superintendent Okręgowy,

Kościół Wesleyański Okręg Colorado-Nebraska

Zawsze miło usłyszeć, że obrazy Akiane wpłynęły na życie innych ludzi. Przedstawiając postać Chrystusa „Książę Pokoju” jest jedną z najbardziej docenianych jej prac. Jako rodzic dziecka, które doświadczyło czegoś niezwykłego i niewytłumaczalnego, cieszę się tą niesamowitą historią i raduję wraz z rodziną Coltona.

—Forelli Kramarik

Współautorka: *Akiane: Her Life, Her Heart, Her Poetry*

„Jeśli się nie odmienicie i nie staniecie jak dzieci, nie wejdziecie do królestwa niebieskiego”  
(Mt 18, 3).

Jezus z Nazaretu

## PODZIĘKOWANIA

Podczas pisania historii Coltona mieliśmy okazję pracować nie tylko z pełnymi oddania profesjonalistami, ale także z prawdziwymi i ciepłymi ludźmi. Byliśmy oczywiście pod wrażeniem ich fachowości, ale największe wrażenie zrobiły na nas ich charakter i serce.

Phil McCallum, Joel Kneeder, Lynn Vincent i Debbie Wickwire nie tylko zainwestowali swój czas w powstanie tej książki, ale też wnieśli wiele w życie naszej rodziny. Bez ich ogromnego wysiłku i wrażliwego ducha *Niebo istnieje, naprawdę* nie rozrosłoby się do takiej postaci, jaką ma teraz.

Codziennie dziękujemy Bogu za zesłanie nam tych utalentowanych osób, by pomogły nam opowiedzieć historię Coltona. Byli dla nas prawdziwym błogosławieństwem.

To ogromny przywilej móc zaliczyć ich do grona swoich przyjaciół.

## Prolog

### *Anioły w fastfoodzie*

Święto Niepodległości przywołuje na myśl patriotyczne parady, aromatyczny zapach grilla i słodkiej kukurydzy oraz nocne niebo rozświetlone kaskadą kolorowych fajerwerków. Jednak dla mojej rodziny 4 lipca w 2003 roku był ważnym wydarzeniem z zupełnie innego powodu.

Razem z moją żoną Sonją planowaliśmy pojechać z dziećmi w odwiedziny do brata Sonji – Steve’a i jego rodziny z Sioux Fall w Dakocie Południowej. Mieliśmy po raz pierwszy zobaczyć dwumiesięcznego bratanka – Bennetta. Poza tym nasze dzieci, Cassie i Colton,

nigdy jeszcze nie były w tamtych stronach i nie widziały tamtejszych wodospadów. (Tak, w Sioux Fall naprawdę płyną wodospady Sioux Fall\*). Jednak najważniejsze było to, że mieliśmy opuścić dom po raz pierwszy od marca i wycieczki do Greeley w Colorado, która okazała się naszym najgorszym koszmarem.

Po prostu kiedy ostatni raz wybraliśmy się na rodzinną wycieczkę, jedno z naszych dzieci prawie umarło. Może to się wydawać dziwne, ale tym razem byliśmy pełni obaw i przez to niemal nie zrezygnowaliśmy z wyjazdu. Jako pastor nie jestem przesądny, ale jakaś częstąką mnie podpowiadała mi, że jeśli będziemy trzymać się bliżej domu, będziemy bezpieczni. Ostatecznie wygrał rozum i pokusa obejrzenia małego Bennetta, o którym Steve mówił, że jest najpiękniejszym dzieckiem na świecie. Zapakowaliśmy więc wszystkie niezbędne rzeczy na cały weekend do naszego niebieskiego Forda Expedition i ruszyliśmy na północ.

Ustaliliśmy z Sonją, że najlepiej większość trasy przejechać nocą. W ten sposób Colton prześpi niemal całą podróż zapięty w foteliku samochodowym, co prawda wbrew swojej czteroletniej woli, bo przecież jest dużym chłopcem. Było więc trochę po ósmej wieczorem, gdy wyjechałem z podjazdu, przejechałem skrzyżowanie przy Kościele Wesleyańskim Crossroads\*, mijając swoją parafię i wjechałem na autostradę numer 61.

Noc rozciągała się nad równiną, a księżyc rozświetlał aksamitne niebo. Imperial to małe rolnicze miasteczko usytuowane dokładnie pośrodku zachodniej granicy stanu Nebraska. Zamieszkuje je tylko dwa tysiące ludzi, na ulicach nie ma sygnalizacji świetlnej. To typowa miścina, gdzie jest więcej kościołów niż banków, a w porze lunchu farmerzy ubrani w trapery i bejsbolówki z obcęgami u paska zjeżdżają prosto z pola do lokalnej kawiarni. Z tego powodu Cassie, lat sześć, oraz Colton byli podekscytowani wyprawą do „wielkiego miasta” Sioux Fall, by poznać ich nowonarodzonego kuzyna.

Dzieciaki gadały bez przerwy przez sto pięćdziesiąt kilometrów aż do miasta North Platte. Colton bawił się w superbohatera, który zdążył w trakcie jazdy kilka razy uratować świat. Dochodziła dziesiąta wieczorem, gdy zatrzymaliśmy się w góra dwudziestoczwartotysięcznym mieście, które słynęło jedynie z tego, że było rodzinnym miastem słynnego showmana Dzikiego Zachodu – Buffalo Billa Cody’ego\*. W North Platte, miejscu, gdzie docierała jeszcze cywilizacja, zrobiliśmy ostatni postój. Dalej mieliśmy

---

\* *fall* po angielsku znaczy wodospad (przyp. tłum.).

\* Kościół Wesleyański - w Polsce przyjął nazwę Ewangeliczny Kościół Metodystyczny; Crossroads to nazwa własna parafii. (przyp. tłum.).

\* Buffalo Bill Cody (1859 – 1917) – organizator i aktor widowisk rozrywkowych przedstawiające wydarzenia z historii amerykańskiego Dzikiego Zachodu.

podążać na północ, przemierzając bezkresne pola kukurydzy, na których można spotkać tylko jelenie, bażanty i od czasu do czasu samotnie stojący dom. Dlatego przystanek zaplanowaliśmy zawczasu, żeby zatankować do pełna bak i nasze brzuchy.

Gdy znowu ruszyliśmy ze stacji benzynowej, skręciliśmy w Jeffers Street i wtedy zauważyłem, że mijamy skrzyżowanie, za którym znajduje się Regionalne Centrum Medyczne Great Plains. To tutaj spędziliśmy w marcu piętnaście koszmarnych nocy, modląc się do Boga, żeby darował życie Coltonowi. I darował, ale teraz żartujemy z Sonją, że to doświadczenie nam też dodało lat.

Niekiedy śmiech pomaga przetrwać trudne chwile, więc gdy dojeżdżaliśmy do skrzyżowania, postanowiłem podrażnić się trochę z Coltonem.

– Hej Colton, jeśli skręcimy tutaj, to pojedziemy do szpitala – powiedziałem. – Chcesz tam wrócić?

Nasz przedszkolak zachichotał na tylnym siedzeniu.

– Nie, tatusiu, nie wysyłaj mnie tam. Wyślij Cassie... Cassie może iść do szpitala!

– O nie, też nie chcę tam być! – odpowiedziała ze śmiechem jego siostra.

Sonja odwróciła się w fotelu pasażera do tyłu, żeby zobaczyć naszego syna, którego fotelik był umocowany za mną. Wyobraziłem sobie jego obcięte na jeża blond włoski i niebieskie oczy błyszczące w ciemnościach.

– Colton, pamiętasz szpital? – zapytała Sonja.

– Tak, pamiętam – odpowiedział. – To tam śpiewały mi anioły.

Po tych słowach w naszym aucie czas się zatrzymał. Spojrzeliśmy na siebie z Sonją, jakbyśmy się nawzajem pytali: „Czy dobrze usłyszeliśmy, co przed chwilą powiedział?”

Sonja przechyliła się do mnie i wyszeptała:

– Czy mówił tobie coś wcześniej o aniołach?

Pokręciłem przecząco głową.

– A tobie?

Zaprzeczyła.

Zobaczyłem przy drodze fastfood, więc skręciłem szybko na parking i wyłączyłem silnik. Jasne światło z ulicy wpadało do samochodu. Obróciłem się w fotelu, żeby zerknąć na Coltona. Pamiętam, że poraziło mnie wtedy, jaki był malutki i chłopiący. Był maleństwem, które ciągle jeszcze w uroczy i niewinny sposób mówiło to, co myślało i widziało. Jeśli jesteś rodzicem, wiesz, co mam na myśli: to jest ten wiek, kiedy dziecko może pokazać palcem kobietę w ciąży i zapytać (bardzo głośno): „Tatusiu, czemu ta pani jest taka gruba?”. Colton był właśnie w tym wieku, który nie zna ani taktu, ani przebiegłości.

Wszystkie te myśli przysły mi do głowy, kiedy zastanawiałem się, jak zareagować na stwierdzenie mojego czteroletniego syna, że śpiewały mu *anioły*. W końcu wykrztusiłem z siebie:

– Colton, mówiłeś, że śpiewały ci w szpitalu anioły?

Pokiwał energicznie główką, przytakując.

– A co śpiewały?

Colton podniósł wzrok w prawy górny róg, co oznaczało, że starał się sobie coś przypomnieć.

– No, śpiewały „Jezus mnie kocha” – odpowiedział z powagą. – Prosiłem, żeby zaśpiewały „We Will, We Will Rock You”, ale nie chciały.

Na te słowa Cassie zaśmiała się cicho. Zauważyłem, że odpowiedź Coltona była natychmiastowa i rzeczowa, bez najmniejszego wahania.

Znów z Sonją spojrzeliśmy na siebie znacząco. „Co to ma znaczyć? Czy miał jakiś sen w szpitalu?”

Jeszcze jedno nasze niewypowiedziane pytanie brzmiało: „Co powinniśmy teraz mu odpowiedzieć?”

Wpadło mi do głowy pierwsze pytanie, które wydało mi się naturalne:

– Colton, a jak wyglądają anioły?

– Jeden z nich wyglądał jak dziadek Dennis, ale to nie był on, bo dziadek nosi okulary.

– uśmiechnął się do swoich wspomnień. A potem nagle spoważniał – Tato, to Jezus kazał aniołom mi śpiewać, bo tak bardzo się bałem. Dzięki nim było mi lepiej.

„Jezus?” – Zerknąłem znowu na Sonję i zobaczyłem, że jej też szczeka opadła ze zdumienia. Odwróciłem się do Coltona i zapytałem:

– Chciałeś powiedzieć, że Jezus też tam był?

Mój mały synek pokiwał głową, jakby po prostu poinformował mnie, że zobaczył biedronkę w ogródku.

– Tak, Jezus też tam był – przytaknął.

– Gdzie był?

Colton spojrzał mi prosto w oczy i odparł:

– Siedziałem Jezusowi na kolanach.

Jeśli istnieją guziki, które zatrzymują rozmowę, to właśnie ktoś nam go przycisnął. Zatkano nas ze zdziwienia. Znów spojrzeliśmy na siebie z Sonją i posłaliśmy sobie wzrokiem kolejny telegram: „Musimy o tym poważnie porozmawiać”.

Wysiedliśmy z samochodu i pomaszzerowaliśmy do fastfooda. Po chwili wyszliśmy z knajpki z siatką wypchaną wałówką. W międzyczasie szeptem wymieniliśmy z Sonją kilka zdań.

– Myślisz, że naprawdę widział anioły?

– I *Jezusa*?

– Nie wiem.

– Może to był sen?

– Nie wiem. Jest taki pewny tego, co opowiada.

Gdy wsiedliśmy z powrotem do auta, Sonja rozdała wszystkim zakupione kanapki z wołowiną, a ja zaryzykowałem, zadając kolejne pytanie.

– Colton, a gdzie wtedy byłeś, gdy widziałeś Jezusa?

Spojrzał na mnie, jakby chciał powiedzieć: „Przecież przed chwilą o tym rozmawialiśmy”.

– W szpitalu. Wtedy, gdy doktor O’Holleran mnie operował.

– No tak, ale doktor operował cię kilka razy, pamiętasz? – powiedziałem. Colton miał w szpitalu wycinany wyrostek robaczkowy i płukanie jamy brzusznej, a potem usuwano mu bliźnię przerostową po zabiegu, ale to odbyło się w gabinecie doktora O’Hollerana.

– Jesteś pewny, że to było w szpitalu?

– Tak. Kiedy byłem z Jezusem, ty się modliłeś, a mama rozmawiała przez telefon.

„Co takiego?”

To oznaczało, że na pewno mówił o klinice. Skąd u licha wiedział, gdzie my wtedy byliśmy?!

– Ale ty, Colton, byłeś wtedy na sali operacyjnej – powiedziałem. – Skąd mogłeś wiedzieć, co robiliśmy?

– Bo was widziałem – odpowiedział, jak gdyby to była oczywistość. – Wyszedłem ze swojego ciała i spoglądałem w dół. Przyglądałem się, jak lekarz pracuje nad moim ciałem. I widziałem ciebie i mamusię. Ty byłeś sam w małym pokoju i się modliłeś, a mama była w innym i też się modliła i rozmawiała przez telefon.

Słowa Coltona wstrząsnęły mną do głębi. Oczy Sonji były wielkie jak spodki, ale nie powiedziała, tylko gapiła się na mnie i w zamyśleniu jadła swoją kanapkę.

Tylko tyle byłem w stanie w tamtym momencie przyjąć do wiadomości. Odpaliłem silnik, wyjechałem na drogę, obierając kierunek na Dakotę Południową. Gdy znaleźliśmy się na autostradzie, po obu stronach rozciągały się pastwiska, od czasu do czasu tylko zamigotała



w świetle księżycyca sadzawka. Było już bardzo późno i wkrótce wszyscy pasażerowie, tak jak było w planach, ucięli sobie drzemkę.

Silnik jednostajnie szumiał, a ja zastanawiałem się nad tym, co przed chwilą usłyszałem. Nasz mały synek oznajmił nam niesamowitą rzecz i do tego wsparł to wiarygodnymi faktami, o których z pewnością nie mógł od nikogo wiedzieć. Nie powiedzieliśmy mu, co robiliśmy w trakcie jego operacji, kiedy był pod narkozą.

Zadawałem sobie pytanie: „Skąd mógłby to wiedzieć?”. Gdy przekroczyliśmy granicę Dakoty Południowej, po głowie kołatało mi się kolejne: „Czy to może być prawda?”.

## Rozdział pierwszy

### ***Pełzaj i podglądaj***

Rodzinny koszmar rozpoczął się podczas długo wyczekiwanej wspólnej wyprawy. Na początku marca 2003 roku miałem jechać do Greely w Colorado na posiedzenie okręgowej rady Kościoła Wesleyańskiego. Od sierpnia 2002 przez siedem miesięcy nasza rodzina borykała się z ciągłymi nieszczęściami: roztrzaskana noga, dwie operacje oraz podejrzenie raka. To niekończące się pasmo chorób i urazów wpłynęło znacznie na stan naszych finansów – wyjmując ze skrzynki kolejne wyciągi z konta, niemalże słyszałem szelest ulatujących banknotów. Moja skromna pensja pastora pozostała nienaruszona, lecz nasza stabilność finansowa zależała głównie od rodzinnej firmy produkującej bramy garażowe. Kilkumiesięczne przygody medyczne słono nas kosztowały.

W lutym wydawało się jednak, że najgorsze już minęło. Ponieważ tak czy owak miałem służbowo jechać do Greely, postanowiliśmy skorzystać z okazji i zorganizować rodzinny wyjazd. Chcieliśmy spożytkować ten moment relaksu, zabawy, odnowienia ducha i umysłu, by oderwać się od szarej rzeczywistości i móc ponownie z nadzieją spojrzeć w przyszłość.

Sonja dowiedziała się o Pawilonie Motyli Tropikalnych, idealnym miejscu dla dzieci na obrzeżach Denver. Reklamowany jako „bezkregowe zoo” Pawilon otwarto w 1995 roku jako projekt edukacyjny, informujący społeczeństwo o niezwykłych światach zarówno insektów, jak i morskich stworzeń zamieszkujących baseny pływowe. Obecnie przed wejściem wita dzieci ogromna metalowa rzeźba kolorowej, polującej modliszki. Jednak w 2003 roku gigantycznego insekta jeszcze nie było, a niski ceglany budynek, oddalony

piętnaście minut od centrum Denver na pierwszy rzut oka nie wyglądał na miejsce przyjazne dzieciom. Na szczęście w środku na małych zwiedzających, szczególnie tych w wieku Coltona i Cassie, czekał nieznan i fascynujący świat.

Zwiedzanie rozpoczęliśmy od sali nazwanej „Pełzaj i podglądaj”, pomieszczenia pełnego terrariów z pełzającymi stworzeniami, jak chrząszcze, karaluchy czy pająki. Jeden z eksponatów – Wieża Tarantul szczególnie przyciągnął uwagę Cassie i Coltona. Oczarowani wpatrywali się w piramidę terrariów zamieszkałych przez futrzane pająki o grubych, niezgrabnych kończynach, które zarazem fascynują, jak i wywołują dreszcze.

Cassie i Colton na zmianę wspinali się na małą składaną drabinę, by dokładniej przyjrzeć się mieszkańcom wyższych pięter Wieży Tarantul. W rogu jednego z terrariów czaił się ptasznik o wdzięcznej nazwie „Mexican Blonde Tarantula”, której zewnętrzny szkielet pokryty był, według tabliczki opisującej eksponaty, „uroczymi bladymi włosami”. W innym zwiedzający mogli podziwiać czerwono-czarną tarantulę pochodzącą z Indii, ale to pająk zwany „Skeleton Tarantula” prezentował się zdecydowanie najefektowniej i najgroźniej. Nazwa gatunku związana jest z jego nietypowym wyglądem: wyraźne białe pręgi na czarnych nogach sprawiają, że ptasznik przypomina zdjęcie rentgenowskie z odwróconymi kolorami. Później dowiedzieliśmy się, że ten konkretny pająk był szczególnie zbuntowany i agresywny. Kiedyś podobno w niewiadomy sposób przedostał się do sąsiedniego terrarium, z zaskoczenia zaatakował jego mieszkańca i ostatecznie zjadł go na obiad.

Kiedy Colton wdrapał się na drabinę, żeby obejrzeć tę agresywną tarantulę, odwrócił się, spojrzał na mnie i uśmiechnął się szeroko. Poczulem, jak rozluźniają mi się mięśnie karku, a po moim ciele rozszło się przyjemne, dawno zapomniane ciepło. W mgnieniu oka odeszło napięcie z ostatnich tygodni, a negatywne emocje ulotniły się, jakby w środku puścił jakiś wentyl. Zdałem sobie sprawę, że po raz pierwszy od miesiący z przyjemnością spędzam czas z rodziną.

– O, poparz na tego! – wykrzyknęła ze zdziwieniem Cassie, wskazując na jedno z terrariów. Dość wysoka i niezgrabna jak na sześciolatkę, moja córka miała po matce umysł ostry jak brzytwa. Uwagę Cassie przykuła tabliczka z informacją o kolejnym okazie: „Ptasznik Goliat... samice tego gatunku mogą mieć ponad dwadzieścia pięć centymetrów długości”.

Tarantula w terrarium miała najwyżej piętnaście centymetrów, ale jej ciało było niemalże grubości nadgarstka Coltona. Stworzenie wybałuszało na nas oczy zza grubej szyby. Spojrzałem na Sonję i zauważyłem, jak z niesmakiem marszczy nos.

Prawdopodobnie jeden z oprowadzających nas wolontariuszy również zauważył jej reakcję, ponieważ natychmiast stanął w obronie ptasznika.

– Goliat pochodzi z Ameryki Południowej – wytłumaczył przyjaźnie, sugerując, że pająk nie jest tak obrzydliwy, jak nam się wydawało. – Tarantule z Ameryki Północnej i Południowej są bardzo łagodne. Bez obaw można je dotykać, a nawet podnosić – dodał i wskazał na innego wolontariusza trzymającego mniejszą tarantulę na otwartej dłoni, żeby dzieci mogły się jej dokładnie przyjrzeć.

Cassie popędziła na drugi koniec pomieszczenia, chcąc zobaczyć, co wywołało tak duże poruszenie, a Sonja, Colton i ja bez namysłu podążyliśmy za nią. W rogu udekorowanym jak prawdziwa bambusowa chatka siedział wolontariusz prezentujący południowoamerykańską Rosie, bezsprzeczną gwiazdę wszystkich pająków w Pawilonie. Była cała pokryta grubym różowym futrem, a od ciała wielkości dorodnej śliwki odchodziły imponujące piętnastocentymetrowe odnóża grubości ołówka. Z punktu widzenia gromady dzieci nie liczył się jednak jej wygląd. Zasłużyła na miano najfajniejszego pająka, ponieważ najdzielniejsi mogli ją chwilę potrzymać, za co otrzymywali naklejkę.

Jeśli macie dzieci, doskonale wiecie, że są momenty, kiedy dobra naklejka jest znacznie więcej warta niż garść pieniędzy. A ta naklejka miała wartość wyjątkową: pod złotym wizerunkiem pająka widniał dumny podpis: „Trzymałem Rosie!”.

To nie była byle jaka naklejka, a prawdziwy medal za odwagę.

Cassie pochyliła się nisko nad ręką wolontariusza.

– Tato, dostanę taką naklejkę? – zapytał Colton, patrząc na mnie błagalnie swoimi dużymi, niebieskimi oczami.

– Musisz sobie na nią zasłużyć i potrzymać Rosie!

Jak na dziecko Colton miał charakterystyczny sposób mówienia – bardzo poważny, na lekkim bezdechu, z delikatną nutką zaskoczenia. Był bardzo błyskotliwym, zabawnym, małym chłopcem, który postrzegał świat w uproszczony sposób. Wszystko było albo fajne (klocki LEGO), albo głupie (lalki Barbie). Albo mu coś wyjątkowo smakowało (stek), albo nie mógł tego przełknąć (zielona fasola). Ludzie dzielili się po prostu na dobrych i złych. W dziecięcych latach postacie superbohaterów zajmowały specjalne miejsce w życiu Coltona. Lubił się nimi bawić i wszędzie zabierał ze sobą figurki Spidermena, Batmana i Buzz Lightyera. W ten sposób, niezależnie od tego, czy utknął na tylnym siedzeniu w samochodzie, na krześle w poczekalni czy na podłodze w kościele, zawsze mógł wymyślać nowe sytuacje, w których dzielni bohaterowie ratowali świat. W każdej zabawie pojawiały się miecze, zdaniem Coltona zdecydowanie najlepsze w walce ze złem. Zdarzało się, że w domu sam

zamieniał się w jedną z postaci. Czasami w drzwiach witał mnie uzbrojony po zęby, z mieczami przewieszonymi po obu stronach paska i krzyczał z uśmiechem: „Tato, tato, bawię się w Zorro! Pobawisz się ze mną?”.

Colton z wahaniem spojrział na wielkiego pająka w rękach wolontariusza. Wyglądał, jakby żałował, że nie ma ze sobą jednego z niezastąpionych mieczy, który przynajmniej dodałby mu otuchy w konfrontacji z Rosie. Starłem się wyobrazić sobie, jak ogromne rozmiary przybiera taka tarantula w oczach małego chłopca. Nasz syn był bardzo aktywnym i energicznym dzieckiem, spędzał dużo czasu w ogrodzie i nieraz prowadził boje z mrówkami, żukami i innymi pełzającymi insektami. Jednak żaden z napotkanych robaków nie był wielkości jego własnej twarzy i nie miał tak okazałego futra.

W pewnym momencie Cassie wyprostowała się i uśmiechnęła się do Sonji.

– Chcę ją potrzymać. Mamo, mogę? Mogę wziąć Rosie na ręce?

– Możesz, ale musisz poczekać na swoją kolej – odpowiedziała ze spokojem Sonja.

Cassie ustawiła się w kolejce z innymi dziećmi, podczas gdy Colton nie spuszczał z Rosie wzroku. Badawczo i nieufnie przyglądał się wielkiemu pająkowi, który powoli przechodził z rąk do rąk. Wszystkie dzieci oddawały Rosie wolontariuszowi i w nagrodę dostawały wymarzoną naklejkę. Cassie nie musiała czekać długo. Po kilku minutach nadeszła jej kolej, by przetestować swoją odwagę. Colton stanął przede mną i oparł się plecami o moje nogi. Chciał być wystarczająco blisko, by wyraźnie widzieć siostrę, a jednocześnie odruchowo cofał się, coraz mocniej napierając na moje kolana. Cassie wyciągnęła rękę i wszyscy przyglądaliśmy się jak Rosie, stara wyjadaczka w kontaktach z małymi ciekawskimi, leniwie podnosząc długie włochate kończyny, powoli przeczołgała się z dłoni wolontariusza na dłoń Cassie i z powrotem.

– Brawo, udało się! – pogratulował wolontariusz, podczas gdy my klaskaliśmy i wiwatowaliśmy na cześć córki. – Dobra robota! – dodał i wstał, by dać Cassie zasłużoną biało-żółtą naklejkę.

Colton został przyparty do muru – nie dość, że nie dorównywał swojej siostrze, był jedynym dzieckiem, które nie miało naklejki. Wodził wzrokiem od nagrody Cassie do ogromnej Rosie i widziałem, jak próbuje pokonać strach. Po chwili zacisnął usta, odwrócił wzrok od Rosie i spojrział na mnie.

– Nie chcę jej dotykać.

– Nie ma w tym nic złego – odpowiedziałem.

– Ale dostanę naklejkę?

– Colton, dobrze wiesz, że musisz wziąć Rosie do ręki, żeby dostać naklejkę. Cassie się udało, więc i ty dasz radę. Możesz spróbować, jeśli chcesz. To jak? Tylko na krótką chwilę?

Colton ponownie spojrzął na tarantulę, po czym przeniósł wzrok na Cassie. Widać było, jak ze sobą walczy: „Cassie się udało. Pająk jej nie pogryzł”.

Chwilę stał w ciszy, po czym zdecydowanie pokręcił głową. Jednak nie.

– Ale ja i tak chcę naklejkę – nalegał. Colton miał wtedy prawie cztery lata i już doskonale wiedział, jak skutecznie obstawać przy swoim.

– Jedyne sposoby na zdobycie naklejki to potrzymać Rosie – wytłumaczyła ze stoickim spokojem Sonja. – Jesteś pewny, że nie chcesz?

Colton złapał Sonję za rękę i zaczął odciągać ją od wolontariusza.

– Nie. Nie chcę. Chcę iść zobaczyć rozgwiadzy.

– Jesteś pewny? – zapytała po raz ostatni.

Bez słowa zdecydowanie kiwnął głową, by potwierdzić swoją decyzję, i szybko ruszył w stronę wyjścia.

## Rozdział drugi

### ***Pastor Hiob***

Kolejne pomieszczenie wypełnione było rzędami akwariów i krytymi basenami pływowymi. Przechadzaliśmy się po nim, wpatrując się w eksponaty, podziwiając rozgwiadzy, mięczaki i ukwiały wyglądające jak podwodne kwiaty. Cassie i Colton wzdychali z zachwytem za każdym razem, gdy mogli zanurzyć rękę w sztucznym basenie pływowym, żeby dotknąć wodne stwory, jakich nigdy wcześniej nie widzieli.

Następnie przeszliśmy do atrium pełnego tropikalnych drzew i pnących roślin. Z zapartym tchem podziwiałem palmy i egzotyczne kwiaty, które wyglądały jak z bajek Coltona. Na domiar tego nad naszymi głowami wirowały chmury motyli.

Podczas gdy dzieci zajęte były odkrywaniem tajemnic, jakie kryła w sobie trzecia sala, wróciłem myślami do poprzedniego lata, kiedy jak co roku graliśmy z Sonją w turnieju ligi mieszanej softballa. Zwykle mieściliśmy się w pierwszej piątce, mimo że graliśmy w drużynie „starszaków” – zawodników po trzydziestce, konkurujących z młodzieżą

uniwersytecką. Nagle uświadomiłem sobie, że nasza siedmiomiesięczna rodzinna mordęga rozpoczęła się podczas ostatniego meczu w zawodach zamykających sezon w 2002 roku. Grałem na pozycji miotacza, a Sonja zapolowego. Sonja właśnie obroniła pracę magisterską z bibliotekoznawstwa i wydawała mi się znacznie piękniejsza niż za czasów studenckich, kiedy po raz pierwszy obserwowałem ją przechodzącą przez główny dziedziniec w Bartlesville Wesleyan College.

Lato powoli miało się ku końcowi, lecz upały nie ustępowały, a każdy dzień niemalże prosił się o kilka kropel deszczu. Pojechaliśmy do wsi Wauneta, oddalonej trzydzieści kilometrów od naszego Imperial, gdzie odbywał się ostatni w sezonie turniej rozgrywany systemem podwójnych eliminacji. O północy, przy ostrym, niebiesko-białym świetle reflektorów, ciągle jeszcze walczyliśmy o jak najwyższą pozycję w naszej kategorii.

Dokładnie nie pamiętam wyniku, ale jestem pewien, że w końcówce drużyny szły łeb w łeb i byliśmy o krok od przejścia prowadzenia. Wybiłem piłkę do drugiej bazy i dałem radę do niej dobiec. Kolejny pałkarz wszedł na boisko i odbił piłkę, która wylądowała na trawie w polu wewnętrznym. To była moja szansa. Wyrwałem jak szalony do trzeciej bazy równo z graczem z pola zewnętrznego, który pobiegł po piłkę.

Usłyszałem lecącą w moją stronę piłkę.

Nasz trener na trzeciej bazie gorączkowo wykrzykiwał: „Ślizgiem, ślizgiem!”

Nabuzowany adrenaliną rzuciłem się na ziemię i poczułem czerwoną ziemię boiska pod lewym biodrem. Kątem oka zauważyłem, jak obrońca przeciwnej drużyny wyciąga rękę żeby złapać piłkę i –

*Trzask!*

Dźwięk pękającej kości był tak głośny, że bez trudu wyobraziłem sobie prędkość, z jaką musiała lecieć piłka. Pałący ból przeszył moją goleń i kostkę. Przewróciłem się na plecy i podkulając kolana zwinąłem się w kłębek. Czułem rytmiczny puls w nodze i pamiętam wszechobecny kurz, który po chwili zamienił się w las nóg, a następnie masę zmartwionych twarzy. Dwóch graczy z doświadczeniem medycznym ruszyło mi na pomoc.

Mam rozmazany obraz Sonji biegnącej w moją stronę i pochylającej się nade mną. Z łatwością mogłem wyczytać z jej twarzy, jak bardzo nienaturalnie wygięta była moja noga. Natychmiast odsunęła się, by przyjaciele – medycy mogli wkroczyć do akcji. Przenieśli mnie do samochodu i po trzydziestu kilometrach dojechaliśmy do najbliższego szpitala. Rentgen wykazał dwa poważne urazy. Lekarska diagnoza brzmiała: spiranle złamanie kości, co oznaczało, że każdy koniec złamanego piszczela wyglądał jak drut kolczasty. Do tego kostka złamała się niemalże na pół – to prawdopodobnie spowodowało tak głośny trzask. Później

dowiedziałem się, że ten odgłos doszedł nawet kibiców siedzących na trybunach przy pierwszej bazie.

Gdy tak przyglądaliśmy się z Sonją Cassie i Coltonowi, którzy w podskokach przemierzali atrium w Pawilonie Motyli Tropikalnych, echo huku pękającej kończyny wróciło do mnie z zadziwiającą siłą na wspomnienie wydarzenia sprzed ponad pół roku. Dzieci zatrzymały się na małym mostku i z ciekawością zaglądały do stawu z kolorowymi karpiami koi. Żywo dyskutowały i pokazywały sobie palcami najładniejsze ryby. Wszędzie latały motyle, więc zająłem do broszury zakupionej przy wejściu, by odnaleźć ich nazwy. Wypatrzyłem jednego o ciemnoniebieskich skrzydłach z gatunku *morpho menelaus*, czarno-białego *idea leuconoe*, który spokojnie przelatywał nam nad głowami, wyglądem przypominając strzępek gazety wirujący w powietrzu, oraz tropikalnego *phoebis sennae* ze skrzydłami w kolorze świeżego mango.

Podczas wizyty w Pawilonie już nie utykałem, a chodzenie nie sprawiało mi trudności. Oprócz przeszywającego bólu złamania kości piszczelowej niemalże natychmiast odczułem finansowe skutki wypadku. Wspinanie się na drabiny, by montować bramy garażowe z gipsem ważącym niemalże dwadzieścia kilo i unieruchomionym kolaniem, było po prostu niemożliwe. Dochody naszej rodziny zmniejszyły się o połowę, a środki na koncie zaczęły topnieć w zastraszającym tempie. Przy niskiej pensji pastora pieniądze oszczędzane latami wydaliśmy w przeciągu kilku tygodni.

Wypadek wpłynął nie tylko na nasze finanse. Ze względu na gips musiałem zrezygnować ze służby w ochotniczej straży pożarnej oraz z pracy trenera wrestlingu w lokalnym liceum. Niedziele również okazały się wyzwaniem. Jestem jednym z tych pastorów, który spaceruje podczas kazania. Nie jestem łagodnym duchownym w długiej szacie, nie przemawiam w przesadnie podniosły czy agresywny sposób i nie aranżuję czytań liturgicznych. Podczas kazania po prostu opowiadam anegdoty i historie, a dobre opowieści wymagają dynamiki i ruchu. Po wypadku musiałem wygłaszać kazanie na siedząco z zagipsowaną nogą opartą na sąsiednim krześle. Przymus siedzenia podczas niedzielnych nauk był dla mnie jak zakaz gestykulacji dla Włocha. Jednak mimo tak wielu niedogodności związanych z kontuzją nie przypuszczałem nawet, że najgorsze było jeszcze przed nami.

Pewnego październikowego poranka, kiedy już przyzwyczałem się do ciągłego kuśtykania o kulach, obudził mnie rwący ból w dolnej części pleców. Natychmiast domyśliłem się, że był to objaw kamicy nerkowej.

Kiedy po raz pierwszy wykryto mi sześciomilimetrowy kamień w nerkach, musiałem od razu przejść operację. Tym razem badania wykazały, że kamień był wystarczająco mały,

by nerki oczyściły się same, bez interwencji chirurgicznej. Po trzech dniach bolesnego wydalania moczu nie byłem pewien, czy drobny kamień to faktycznie mniejsze zło. Kiedyś przytrzasnąłem sobie palec bagażnikiem tak mocno, że odciąłem sobie opuszkę i wydawało mi się, że nie może spotkać mnie nic gorszego. Myliłem się. Wydalanie drobinek kamienia było bardziej bolesne nawet od roztrzaskanej na cztery części kości.

Mimo wszystko dałem radę. W listopadzie, po trzech miesiącach poruszania się o kulach, pojechałem na kontrolę lekarską.

– Noga zrasta się poprawnie, ale musi pozostać w gipsie – poinformował rzetelnie ortopeda. – Czy coś jeszcze panu dolega?

Niestety, dolegało. Czułem się nieswojo pytając lekarza o zgrubienie, które niedawno pojawiło się na klatce piersiowej, zaraz pod prawym sutkiem. Jestem praworęczny, więc gdy pisałem, często opierałem się na prawej kuli. Pomyślałem, że może to uchwyt kuli mocno pocierał o klatkę piersiową przez ostatnie tygodnie i spowodował podrażnienie pod skórą, coś w rodzaju odcisku.

Lekarz od razu wykluczył taką ewentualność.

– Zgrubienia nie pojawiają się od chodzenia o kulach – powiedział. – Muszę skonsultować się z chirurgiem.

Chirurg Timothy O'Holleran natychmiast wykonał biopsję igłową, a wyniki pojawiły się kilka dni później. Zdiagnozowano zmianę guzową, czyli zapowiedź raka piersi. *Raka piersi!* Strzaskana noga, kamień w nerkach i do tego – no doprawdy! – *rak piersi?!*

Gdy inni duszpasterze z mojego rejonu po jakimś czasie dowiedzieli się o moich problemach zdrowotnych, zaczęli nazywać mnie Pastorem Hiobem, od przypowieści biblijnej, w której głównego bohatera, tak jak mnie, spotyka seria nieszczęść i przeciwności losu. Tuż po diagnozie chirurg zalecił to samo, co zaleca się każdej kobiecie w takiej sytuacji – amputację piersi.

Sonja podeszła do sprawy bardzo pragmatycznie. Jeśli lekarz zasugerował zabieg, to trzeba było się do zaleceń dostosować. Uważała, że przecież – jako rodzina – przez wszystko przechodzimy razem.

Do tej pory też tak uważałem. Jednak po diagnozie zaczęło mi być siebie żal. Po pierwsze, miałem serdecznie dosyć chodzenia o kulach. Poza tym usuwanie piersi nie jest najbardziej męskim zabiegiem, jaki można sobie wyobrazić. Na dodatek od dawna starałem się przekonać radę kościoła, że potrzebuję funduszy by zatrudnić pomocnika, lecz dopiero po moim nagłym nawrocie kamicy nerkowej rada parafialna oficjalnie zgodziła się na zatrudnienie dla mnie osoby do pomocy.



Mimo świadomości, że powinienem być wdzięczny za pozytywne rozpatrzenie sprawy, byłem rozżalony. „Nie dość, że trzeba być inwalidą, to jeszcze powinno się być na granicy diagnozy raka, żeby otrzymać jakąkolwiek pomoc?” – myślałem.

Pewnego dnia moje uzalenie się nad sobą sięgnęło zenitu. Siedziałem na parterze na plebanii czy też raczej w dobrze wykończonej piwnicy, gdzie mieliśmy kuchnię, salkę katechetyczną oraz duży wspólny pokój. Właśnie skończyłem drobną papierkową robotę i zacząłem mozolnie wspinać się na górę po schodach. Już na samym dole, niemalże na pierwszym stopniu, ogarnęła mnie wściekłość na Boga.

– To jest niesprawiedliwe – utyskiwałem na głos, zmagając się z każdym stopniem i powoli przekładając kule. – Muszę cierpieć i znaleźć się w tak nędznym stanie, żeby w końcu dostać pomoc, której potrzebowałem od miesiący.

Ostatecznie całkiem zadowolony ze swojego męczeństwa dotarłem na samą górę, kiedy w sercu odezwał się cichy, nikły głos: „A co zrobił dla ciebie mój Syn?”

Uniżony i zawstydzony własnym egoizmem przypomniałem sobie, co Jezus powiedział Apostołom: „Uczeń nie jest ponad nauczycielem ani sługa nad swym panem”<sup>1</sup>. Oczywiście ostatnie miesiące nie należały do najłatwiejszych, jednak w porównaniu do cierpienia innych ludzi na całym świecie moje nieszczęścia nagle wydały mi się błahe. Bóg obdarował mnie małą grupką wiernych, którą prowadziłem i której służyłem, a ja niewdzięcznie narzekam na Niego, ponieważ wierni mi nie służyli.

– Panie, wybacz – powiedziałem i ruszyłem naprzód ze zdwojoną siłą, jakby moje kule przemieniły się w skrzydła anioła.

Prawda była taka, że kościół bardzo mi pomagał, a wierni organizowali modlitwy w intencji mojego zdrowia. Pewnego grudniowego poranka zadzwonił do mnie chirurg Timothy O’Holleran z zaskakującą wiadomością: okazało się, że narośl nie tylko była niezłośliwa, ale że była to po prostu normalna tkanka.

– Nie jestem w stanie wytłumaczyć, skąd wziął się błąd – powiedział. – Biopsja jednoznacznie sugerowała guza, więc spodziewaliśmy się otrzymać takie same wyniki z tkanki usuniętej podczas zabiegu. Jednak próbka okazała się zdrowa, nie było zmian nowotworowych. Nie wiem, co powiedzieć i nie wiem, jak to wytłumaczyć.

Mimo dezorientacji lekarza znałem wytłumaczenie. Wiedziałem, że Bóg pochylił się nade mną i stał się cud.

---

<sup>1</sup> Mt 10,24.

## Rozdział trzeci

### **Colton daje radę**

Pod koniec kolejnego miesiąca zdjęto mi gips. Ze względu na ryzyko raka oraz kamicej nerkową ponowna nauka chodzenia zajęła mi dobre kilka miesięcy – pierwsze kroki stawiałem z zagipsowaną nogą, a później kuśtykałem, odciążając uszkodzone kości i powoli starając się odbudować zanikające, osłabione mięśnie. W lutym odzyskałem względną sprawność. Wyglądało na to, że będę mógł wybrać się na posiedzenie okręgowej rady naszego kościoła w Greely, w stanie Colorado, które miało odbyć się w pierwszym tygodniu marca.

– Musisz się na chwilę stąd wyrwać – skomentowała Sonja kilka tygodni przed zgromadzeniem rady. – Wyjechać i porządnie odpocząć.

Tym sposobem wszyscy skończyliśmy w Pawilonie Motyli Tropikalnych. Przeleciał mi właśnie nad głową piękny motyl nazywany monarchą. Ze swoimi pomarańczowymi skrzydłami, poprzecinanymi czarnymi nitkami, przypominał jednokolorowy witraż. Podziękowałem Bogu, że ostatecznie udało nam się pojechać na rodzinną wycieczkę.

W czwartek, zaledwie dwa dni przed wyjazdem, Colton zaczął narzekać na bóle brzucha. Byłem już w Greely, a Sonja prowadziła zajęcia w liceum w Imperial. Nie chcąc narażać szkoły na wydatki związane z zastępstwami, poprosiła naszą dobrą przyjaciółkę Normę Dannatt, by zajęła się Coltonem, podczas gdy sama pojechała do pracy. Norma, ulubiona ciotka naszych dzieciaków, zgodziła się bez problemu. Tego samego dnia w południe Sonja odebrała od niej telefon. Zaniepokojona Norma oznajmiła, że stan Coltona zdecydowanie się pogorszył. Dostał wysokiej gorączki i miały nim dreszcze, więc przez cały dzień leżał na sofie bez ruchu, zawinięty w koc.

– Mówi, że mu zimno, ale szalenie się poci – powiedziała zmartwiona Norma. Podobno całe czoło pokryte miał kroplami potu wielkości łez.

Bryan, mąż Normy, wrócił do domu, zobaczył Coltona i zasugerował, że chłopiec powinien pojechać do lekarza. Sonja natychmiast zadzwoniła do mnie do Greely, żeby poinformować o zaistniałej sytuacji. Wyglądało na to, że wycieczkę z okazji końca moich chorób będziemy musieli odwołać przez... kolejną chorobę.

Sonja wyszła wcześniej z pracy, odebrała Coltona od Normy i zabrała go do przychodni. Lekarz oznajmił, że właśnie panuje grypa żołądkowa i Colton mógł się zarazić jej wirusem.

Nasza wycieczka wisiała na włosku. Przez całą noc modliliśmy się – Sonja w Imperial, ja w Greely – by Colton poczuł się lepiej i już następnego ranka było widać poprawę.

W nocy spadła gorączka, a w piątek popołudniu chłopiec czuł się już zupełnie dobrze. Wieczorem Sonja zadzwoniła do mnie i oznajmiła, że są już w drodze.

Teraz, w Pawilonie Motyli Egzotycznych, Sonja spojrzała na zegarek.

Tego wieczoru byliśmy umówieni na kolację ze Stevem Wilsonem, pastorem z Kościoła Wesleyańskiego w Greely i jego żoną, Rebeccą, a dzieci chciały jeszcze popływać w basenie hotelowym. W Imperial nie było mowy o jakimkolwiek pływaniu w marcu, więc teraz chciały wykorzystać rzadką okazję, która się nadarzyła.

– Słuchajcie, powoli musimy się zbierać do hotelu – powiedziała Sonja.

Spojrzałem na nią, a później na Coltona, i dodałem:

– No, młody, czas na nas. Jesteś pewny, że nie chcesz wziąć Rosie do ręki? To ostatnia szansa na zdobycie naklejki. To jak? – zapytałem.

Na twarzy Coltona pojawiła się niepewność, wyraźnie widać było miotające nim emocje. Już nawet jego starsza siostra lekko mu dokuczała, że jest tchórzem. Colton momentalnie przymrużył oczy i zacisnął zęby. Musiał zdobyć tę naklejkę.

– Dobrze, niech będzie. Potrzymam ją – powiedział. – Ale tylko przez chwilę.

Zanim zdążył zmienić zdanie, wróciliśmy do sali o nazwie „Pełzaj i podglądaj”, gdzie zwołałem wolontariusza.

– Colton jednak zdecydował, że chciałby potrzymać Rosie – poinformowałem. Mężczyzna uśmiechnął się i pochylił się w jego stronę.

– To jak, Colton, jesteś gotowy?

Napięty jak struna Colton niepewnie wyciągnął rękę w stronę Rosie. Ukłakłem za nim i wziąłem jego dłoń w swoją.

– Colton, to bułka z masłem – przekonywał wolontariusz. – Po prostu nieruchomo trzymaj otwartą dłoń. Rosie jest bardzo delikatna, nic ci nie zrobi.

Tak jak poprzednio, Rosie powoli zsunęła się na rękę Coltona i po chwili wróciła do swojego cierpliwie czekającego opiekuna. Maluch z dumą odebrał naklejkę, a my nagrodziliśmy jego sukces oklaskami. To był dla niego wyczyn dnia, jak wisienka na torcie.

Kiedy wychodziliśmy z Pawilonu, intensywnie rozmyślałem nad ostatnimi miesiącami. Nie mogłem uwierzyć, że to wszystko wydarzyło się zaledwie w pół roku: strzaskana noga, kamica nerkowa, stracona praca, problemy finansowe, trzy operacje i podejrzenie raka. Zdałem sobie sprawę, że do tej pory czułem się, jak podczas niebezpiecznej walki. Ciągle miałem się na baczności, czekałem na kolejne ciosy, jakie życie miało mi zadać. Teraz po raz pierwszy od poprzednich wakacji poczułem się wypoczęty i zrelaksowany, walka się skończyła.

Gdybym pomyślał głębiej nad tą metaforą, może zorientowałbym się, że nie tak kończą się mecze bokserskie. Zawodnicy są w stanie amortyzować niebezpieczne ciosy, ponieważ są na nieprzygotowani. Nokautowe uderzenie to zwykle to, którego najmniej się spodziewają.

## Rozdział czwarty

### **Sygnaly dymne**

Po wyjściu z Pawilonu Motyli Tropikalnych zaliczyliśmy pływanie w hotelowym basenie, po czym wybraliśmy się na umówione spotkanie do restauracji Old Chicago w Greeley. Objedliśmy się wyśmienitymi włoskimi daniami, między innymi uwielbianymi przez wszystkie dzieci spaghetti, pizzą i chlebkiem czosnkowym. Cassie i Colton już siedzieli w oddzielnym pomieszczeniu dla najmłodszych i z zapalem kolorowali kolorowanki, podczas gdy my rozmawialiśmy przy stole z pastorem Stevem Wilsonem i jego żoną Rebecą.

Steve był starszym pastorem w kościele liczącym półtora do dwóch tysięcy wiernych – mniej więcej tylu mieszkańców ma nasze Imperial. To spotkanie było szansą dla Sonji i dla mnie, by poznać kolejnego pastora z naszego okręgu i dowiedzieć się czegoś o jego pracy duszpasterskiej. Na kolejny dzień planowaliśmy odwiedzić kościół Steve’a. Sonja była szczególnie zainteresowana przebiegiem porannych niedzielnych nabożeństw dla dzieci. Rebecca raz na jakiś czas odłączała się od naszej rozmowy i podziwiała kolorowanki Cassie i Coltona.

– Colton, naprawdę świetnie wychodzi ci kolorowanie tej pizzy – pogratulowała chłopcu z entuzjazmem. Colton uśmiechnął się nieśmiało. Był tego wieczoru wyjątkowo spokojny, dopiero po kilku minutach niepewnie się odezwał.

– Mamo, znowu bardzo boli mnie brzuch.

Wymieniliśmy z żoną znaczące spojrzenia. Czyżby jakiś nawrót niedoleczonej grypy żołądkowej? Sonja położyła rękę na czole Coltona.

– Kochanie, ale chyba nie masz gorączki.

– Niedobrze mi, zaraz zwymiotuję – odpowiedział.

– Mamo, też nie czuję się najlepiej – dodała Cassie.

Doszliśmy do wniosku, że musieli zjeść coś ciężko strawnego. Ze względu na złe samopoczucie dzieci zakończyliśmy spotkanie wcześniej. Pożegnaliśmy się z Wilsonami i poszliśmy do hotelu, który na szczęście był po drugiej stronie ulicy. Gdy tylko otworzyliśmy drzwi do pokoju, Colton zaczął wymiotować – zdążył zabrudzić cały dywan, zanim Sonja wepchnęła go do łazienki.

Stojąc w drzwiach, obserwowałem Coltona, który skulony stał nad toaletą i cały dygotał. Zdecydowanie nie wyglądało to na typowe zatrucie pokarmowe.

„No pięknie. To pewnie ta grypa żołądkowa” – pomyślałem.

W ten sposób rozpoczął się wieczór, podczas którego Colton wymiotował dokładnie co trzydzieści minut. Sonja siedziała w głębokim fotelu z naszym synem na kolanach. Przystawiła sobie wiadro, w razie gdyby nie dała rady dotrzeć do łazienki na czas. Mniej więcej po dwóch godzinach drugie dziecko dołączyło do akcji. Kiedy Sonja klęczała w łazience, podtrzymując pochylonego nad toaletą Coltona, Cassie wbiegła do środka i zwymiotowała do umywalki.

– Todd! – zawołała Sonja. – Chyba potrzebuję pomocy. „Świetnie. Teraz obydwójce są chorzy” - pomyślałem.

„Ale czy to na pewno grypa?” Kiedy znowu byliśmy w sypialni, spróbowaliśmy z Sonją przeanalizować fakty. Wydawało się, że Colton wyzdrowiał przed wyjazdem, a przez cały dzień w Pawilonie Motyli Tropikalnych nic mu nie było. Poza krótkim epizodem z Rosie, kiedy to musiał zdobyć naklejkę, wydawał się radosny jak zawsze. Cassie też miała pająka na ręce... Czy ptasznik z gatunku Goliat mógł być powodem ich wymiotów?

„Chyba zwariowałeś” - skarciłem się w myślach i odrzuciłem taką ewentualność.

– Czy dzieci jadły dokładnie te same rzeczy w restauracji? – zapytałem Sonję, która leżała na jednym z łóżek, przytulając nasze chore maluchy. Utkwiła wzrok w suficie i najwyraźniej nad czymś myślała.

– Z tego co pamiętam, jedli pizzę... ale przecież wszyscy jedliśmy pizzę. Myślę, że to ta grypa. Colton pewnie nie do końca wyzdrowiał i Cassie pewnie coś podłapała, zanim dojechaliśmy na miejsce. Lekarz mówił, że to choroba zakaźna.

Niezależnie od przyczyny wyglądało na to, że nasz wspólny rodzinny wypoczynek właśnie dobiegał końca. Kilka sekund później znów padły magiczne słowa, które utwierdziły mnie w tym przekonaniu:

– Mamo, chyba zaraz znowu zwymiotuję.

Sonja wzięła Coltona na ręce i pędem pognęła do łazienki.

Kiedy różowe promienie wschodzącego słońca przedzierały się przez zasłony hotelowej sypialni, Sonja nadal była na nogach. Uzgodniliśmy, że przynajmniej jedno z nas powinno pójść do Kościoła Wesleyańskiego w Greeley zgodnie z planem. Chcieliśmy zdobyć wiedzę na temat tak dużej parafii, by po powrocie wykorzystać ją w Imperial, więc starałem się choć trochę zdrzemnąć. Na Sonji spoczywało czuwanie i opieka nad dziećmi, co wymagało cogodzinnej wycieczki do łazienki z Coltonem. Cassie zwymiotowała jeszcze tylko raz tej nocy, ale choroba nie dawała spokoju małemu.

Wczesnie rano wymeldowaliśmy się z hotelu i pojechaliśmy do domu Phila i Betty Lou Harris, naszych bliskich przyjaciół, którzy są superintendentami Kościoła Wesleyańskiego w okręgu Kolorado i Nebraski. Początkowo planowaliśmy odwiedzić kościół Wilsonów wspólnie, jednak ze względu na dwójkę chorych dzieci postanowiliśmy, że Sonja zaopiekuje się nimi u Harrisów. Betty Lou, wspaniała kobieta, zaoferowała pomoc i również została w domu.

Kiedy wróciłem na lunch, Sonja poinformowała mnie, że Cassie czuła się znacznie lepiej. Nawet udało jej się coś zjeść i nie zwrócić od razu. Jednak Colton nadal regularnie wymiotował, co chwilę biegając do toalety.

Biedak siedział w salonie Harrisów skulony w rogu ogromnej kanapy, przed którą stało wiadro. Usiadłem obok niego i objąłem go ramieniem.

– Jak tam, mały, nie czujesz się najlepiej, co?

W odpowiedzi Colton wolno pokręcił głową, a oczy zaszyły mu łzami. Może i byłem już po trzydziestce, ale podczas ostatnich kilku miesięcy przekonałem się, że czasami ze względu na złe samopoczucie człowiek ma ochotę po prostu się rozplakać. Zrobiło mi się go żal.

– Chodź tu – powiedziałem, wzięłem go na kolana i obróciłem go w swoją stronę. W jego zwykle figlarnym spojrzeniu widać było zmęczenie i rezygnację.

Phil podszedł do nas i również usiadł obok mnie na sofie. Zaczął wyliczać wszystkie dolegliwości Coltona: ból brzucha, częste wymioty i gorączka, która pojawiała się równie nagle, jak ustępowała.

– Czy to może być wyrostek?

Zastanowiłem się przez moment. W rodzinie zdarzyło się to już kilka razy. Wyrostek mojego wujka pękł, a ja miałem zapalenie wyrostka robaczkowego w liceum, kiedy zaczęliśmy się spotykać z Sonją. Ona również miała zabieg usuwania wyrostka jeszcze w drugiej klasie.

Jednak w przypadku Coltona coś się nie zgadzało. Po pierwsze, lekarz w Imperial zdiagnozował gripę żołądkową. Poza tym jeśli był to wyrostek, to Cassie przecież nie powinno nic dolegać.

Spędziliśmy niedzielny wieczór u Harrisów w Greeley. Rano Cassie była już w pełni zdrowa, ale stan Coltona się nie poprawiał. Chłopiec ciągle wymiotował.

Kiedy już się spakowaliśmy i przenosiliśmy bagaże do samochodu, Phil spojrzał na Coltona skulonego u Sonji na rękach.

– Nie wygląda na zdrowego – powiedział. – Może powinniście zabrać go do pobliskiego szpitala?

Przedyskutowaliśmy z Sonją tę propozycję. Nasze doświadczenia z poczekalni na dziecięcych oddziałach nagłych wypadków podpowiadały nam, że trzygodzinna podróż do Imperial zajmie mniej niż oczekiwanie na lekarza w szpitalu Denver. W związku z tym ruszyliśmy do domu i umówiliśmy wizytę z naszym lekarzem rodzinnym, który w piątek przed wyjazdem zdiagnozował u Coltona gripę. Staralem się wytłumaczyć nasze rozumowanie Philowi, który nie był przekonany i wyglądał na zmartwionego. Mniej więcej po godzinie jazdy zacząłem dochodzić do wniosku, że Phil chyba miał rację.

Według Sonji pierwszym znakiem ostrzegawczym był niespodziewany postój w centrum handlowym zaraz pod Greeley, gdzie musieliśmy kupić pampersy. Po raz pierwszy od ponad dwóch lat Colton nie wytrzymał i załatwił się w majtki. Najbardziej zaniepokoił Sonję fakt, że maluch nie protestował, kiedy położyliśmy go na tylnym siedzeniu, żeby założyć mu pampersa. W innych okolicznościach na pewno byłby oburzony. Przecież nie jest *maluchem!* Jednak tym razem nie pisnął nawet słowem.

Gdy go posadziliśmy i przypięliśmy pasami, złapał się za brzuch i jęknął. Po dwóch godzinach już tylko płakał i było mu tak niedobrze, że musieliśmy zatrzymać się co trzydzieści minut. Zerkając w lusterko, obserwowałem zrozpaczoną i bezradną Sonję. Staralem się skoncentrować na celu. Musieliśmy jak najszybciej dojechać do Imperial i

podłączyć syna pod kroplówkę, żeby zapobiec odwodnieniu, które było nieuniknione przy tak częstych wymiotach.

Dojechaliśmy do Imperial w niecałe trzy godziny. W szpitalu pielęgniarka niemal natychmiast zaprowadziła nas do gabinetu lekarskiego. Sonja niosła Coltona, który wtulał się w nią jak niemowlę. Po chwili dołączył do nas ten sam lekarz, z którym rozmawialiśmy w piątek i ponownie przedstawiliśmy mu sytuację. Po krótkich oględzinach wysłał nas na badania krwi i na prześwietlenie. Po raz pierwszy od wyjazdu z Greeley odetchnąłem z ulgą. Zaczęliśmy działać, widać było postępy. Niedługo otrzymamy diagnozę, może receptę czy dwie i Colton zacznie zdrowieć.

Pojechaliśmy do laboratorium, gdzie zestresowany Colton strasznie mocno krzyczał, kiedy pielęgniarka szukała żyły do pobrania krwi. Prześwietlenie poszło znacznie sprawniej, ponieważ przekonaliśmy Coltona, że nie zobaczy już więcej żadnych igieł. Po godzinie byliśmy znów w gabinecie lekarza.

– Czy to może być wyrostek? – zapytała Sonja, na co doktor przecząco pokręcił głową.

– Nie. Ilość białych krwinek jest w normie, nic nie wskazuje na problemy z wyrostkiem. Jednak martwią nas zdjęcia rentgenowskie.

Spojrzałem na Sonję i zrozumieliśmy, że oboje od początku podejrzewaliśmy tylko złośliwego wirusa. Nie byliśmy gotowi na wiadomość o jakiegokolwiek poważniejszej chorobie. Lekarz wprowadził nas do sali, w której zdjęcia były już przyklejone do podświetlacza. Serce stanęło mi w gardle, kiedy spojrzałem na fotografię – w klatce piersiowej naszego małego synka widać było trzy wielkie ciemne plamy. Wyglądało to jakby jego wnętrzności po prostu eksplodowały.

Sonja zaczęła kręcić głową z niedowierzaniem, a długo powstrzymywane łzy spłynęły jej po policzkach.

– Jest pan pewien, że to nie wyrostek? – zapytałem lekarza po raz kolejny. – W rodzinie mamy kilka przypadków – dodałem. Odpowiedź była negatywna.

– Nie na to wskazują badania krwi.

– Więc co mu jest?

– Tego właśnie nie jestem pewien – odpowiedział.



## ***Cień śmierci***

Wszystko rozegrało się trzeciego marca. Pielęgniarki wzięły Coltona na oddział i podłączyły go pod kroplówkę. Dwie plastikowe torby zwisały z metalowego nierdzewnego stojaka, jedna nawadniająca, druga z jakimiś antybiotykami. Modliliśmy się z Sonją o zdrowie naszego dziecka. Norma przywiozła do szpitala ulubioną zabawkę Coltona, jego figurkę Spidermena. Zwykle oczy zaświeciłyby mu się na widok zarówno Normy, jak i zabawki, ale tym razem dzieciak w ogóle nie zareagował. Później nasza dobra znajoma Terri przyjechała w odwiedziny ze swoim synem Hunterem, najlepszym przyjacielem Coltona. I tym razem nie było żadnej reakcji, Colton leżał i wodził wkoło obojętnym spojrzeniem. Norma przystawiła krzesło do łóżeczka Coltona, usiadła i ponuro spojrzała na Sonję.

– Chyba lepiej zrobilibyście, zabierając go do tego szpitala w Denver – powiedziała. My jednak ufaliśmy lekarzom zajmującym się naszym synem i wierzyliśmy, że robili wszystko, co było w ich mocy, by nam pomóc.

Poza tym ze względu na stan Coltona nie było mowy o ponownej męczącej podróży do Colorado.

Colton nadal wymiotował, a Sonja siedziała przy nim jak na posterunku i dodawała mu otuchy. Pojechałem do domu sprawdzić, czy nic się nie stało podczas naszej nieobecności. Po drodze zatrzymałem się w kościele upewniając się, że wszystko jest na swoim miejscu. Skontrolowałem pracowników montujących bramy garażowe, oddzwoniłem do kilku nowych klientów i pojechałem naprawić zepsute zawiasy. Przez cały czas spędzony w szpitalu modliłem się żarliwie. Nawet rozmawiając z innymi zwracałem się w myślach do Boga, a niewypowiedziane słowa odbijały się echem w mojej głowie, jakby te zaskakujące i przykre wydarzenia życia doczesnego powstrzymywały je od wyrwania się na światło dzienne.

W poniedziałek Sonja spędziła noc w szpitalu, a ja zostałem z Cassie w domu. We wtorek rano zaprowadziłem córkę do szkoły, a sam miotałem się między obowiązkami kościelnymi i firmowymi. W każdej wolnej chwili jeździłem do szpitala z nadzieją na jakąkolwiek poprawę stanu zdrowia syna. Jednak raz za razem odnosiłem wrażenie, że potworna choroba brała górę nad wątłym ciałem malucha. Sytuacja pogarszała się z godziny na godzinę, Colton bladł w oczach i słabł w coraz szybszym tempie. Drugiego popołudnia przerażony stwierdziłem, że zawisł nad nim cień śmierci.

Byłem tego pewny. Jako pastor często towarzyszyłem wiernym przy łożu śmierci. W szpitalach, w domach opieki, w hospicjach. Zawsze widoczne były te same objawy: zaróżowiona skóra traci kolor i blednie, robi się żółtawa. Oddech jest ciężki, wręcz

wymuszony. Charakterystyczne sine, zapadnięte oczy są szeroko otwarte, ale osoba jest nieobecna duchem, nie ma z nią kontaktu. Widziałem ludzi w tym stanie wiele razy, jednak wtedy się tego spodziewałem – zazwyczaj byli to pacjenci cierpiący na złośliwego raka lub osoby w podeszłym wieku. Wiedziałem, że życie tych ludzi dobiegało końca, zostały im dni, godziny, minuty. Byłem przy ich rodzinach, pomagałem i dodawałem otuchy. Razem modliliśmy się do Boga o szybką, bezbolesną i godną śmierć dla ich ukochanej bliskiej osoby.

Jednak tym razem ujrzałem śmierć w oczach własnego dziecka. Dziecka, które nie skończyło nawet czterech lat. Ten widok był dla mnie jak cios w samo serce.

Spanikowany głos krzyczał w mojej głowie: „Nie robimy nic, żeby mu pomóc!”.

W takich sytuacjach muszę chodzić w kółko. W sali Coltona wydeptałem ścieżkę, krążąc od ściany do ściany, jak wściekły lew w klatce. Miałem ściśnięty żołądek, a niewidzialne imadło miażdżyło mi klatkę piersiową na wysokości serca. „Jest tylko coraz gorzej. Boże, co mamy zrobić?” – myślałem.

Kiedy tak miotałem się z kąta w kąt, Sonja wyładowywała stres nadopiekuńczością. Poprawiała Coltonowi poduszkę i kołdrę, upewniała się, że ciągle pije zgodnie z zaleceniem lekarskim. W ten sposób zajmowała czymś myśli, co pomagało jej się uspokoić. Przyglądając się jej, widziałem w jej oczach rosnący niepokój. Nasz syn wymykał się lekarzom z rąk i oboje chcieliśmy dowiedzieć się, dlaczego. CO SIĘ DZIAŁO? Lekarze przynosili coraz to nowsze wyniki testów, ale nie pojawiały się żadne odpowiedzi na nasze pytania, wysłuchiwaliśmy tylko bezsensownych komentarzy.

– Ewidentnie nie reaguje na leki. Nie wiem... Przydałby się chirurg.

Staraliśmy się im zaufać. Nie jesteśmy lekarzami, nie mamy doświadczenia medycznego. Jestem pastorem, a Sonja nauczycielką. Chcieliśmy ufać personelowi kliniki i wierzyć, że podejmują wszelkie kroki, by ratować naszego syna. Ciągle przekonywaliśmy się: „Następnym razem doktor wejdzie z kolejnymi wynikami, zmieni podawany lek i wszystko zacznie wracać do normy”. Ale nic takiego się nie stało i w pewnym momencie musiałem wziąć sprawę w swoje ręce.

Rozdział szósty

## ***Szpial w North Platte***

W środę oznajmiliśmy w naszym miejscowym szpitalu, że zabieramy Coltona z Imperial i jedziemy do Colorado do Regionalnego Centrum Medycznego Great Plains w North Platte. Początkowo braliśmy również pod uwagę sugestię Normy, by udać się do dziecięcego szpitala w Denver, jednak zdecydowaliśmy nie oddalać się aż tak od domu. Wypisanie Coltona ze szpitala dłużyło się niemiłosiernie i w naszym odczuciu zajęło całą wieczność. W końcu pielęgniarka przyniosła potrzebne dokumenty: wypis, wyniki wszystkich badań krwi oraz dużą brązową kopertę ze zdjęciami rentgenowskimi. Sonja zadzwoniła do lekarza pediatry Della Shepherd'a i uprzedziła go o naszym przyjeździe.

O 10.30 rano podniosłem Coltona ze szpitalnego łóżka, nie mogąc uwierzyć w wiotkość jego ciała. Był bezwładny jak jakaś szmatka. Ogarnęła mnie panika, lecz starałem się zachować choćby pozorny spokój. Przynajmniej znowu zaczęliśmy działać. Robiliśmy kolejny krok.

Zamocowaliśmy fotelik samochodowy Coltona na tylnym siedzeniu auta. Delikatnie go posadziłem i zacząłem się zastanawiać, jak szybko jestem w stanie przejechać trasę do North Platte. Sonja usiadła z maluchem z tyłu. Uzbrojona w różowy plastikowy szpitalny pojemnik, była gotowa na kolejne fale wymiotów.

Był słoneczny, rześki dzień. Kiedy wyjechałem na autostradę numer 61, przekręciłem przednie lustro tak, by kątem oka obserwować Coltona. Po pierwszych kilkunastu kilometrach przejechanych we względnej ciszy usłyszałem, jak chłopiec sięga po miskę. Kiedy skończył wymiotować, zatrzymaliśmy się na poboczu, żeby Sonja mogła opróżnić pojemnik. Wjechałem z powrotem na autostradę, a Sonja wyjęła zdjęcia rentgenowskie z brązowej koperty i przyłożyła je do bocznej szyby. W lusterku widziałem, jak z niedowierzaniem kręci głowę, a oczy zachodzą jej łzami.

– Zawaliliśmy sprawę – powiedziała, a głos jej się załamał. Później przyznała, że te zdjęcia wryły jej się w pamięć co do najmniejszego szczegółu.

Odwróciłem się, by rzucić okiem na trzy ciemne plamy, którym się przyglądała. Bezkształtne skazy wydawały się ogromne na zamglonym zdjęciu małej klatki piersiowej Coltona. Dlaczego teraz sprawiały wrażenie dużo większych niż na początku?

– Masz rację. Powinniśmy się domyślić – powiedziałem.

– Ale ten lekarz...

– Wiem. Nie powinniśmy go słuchać.

Nie wypominaliśmy sobie niedopatrzeń, nie wytykaliśmy się palcami. Jednak byliśmy zawiedzeni swoją postawą. Za każdym razem staraliśmy się postępować słusznie. Lekarze zalecili prześwietlenie, więc zrobiliśmy prześwietlenie. Zalecili kroplówkę, podaliśmy

kroplówkę. Skierowali na badania krwi, zrobiliśmy badania krwi. To przecież byli lekarze, czyż nie? Wiedzieli, co robią... prawda? W ważniejszych momentach musieliśmy podejmować kluczowe decyzje, jednak za każdym decydowaliśmy się na zły ruch, a teraz Colton płacił za nasze błędy. Małe bezbronne dziecko cierpiało ze względu na niedopatrzienia swoich rodziców.

Z tyłu Colton zapadł się w swoim foteliku, a jego milczenie było głośniejsze niż jakikolwiek przerażający dźwięk. Przypomniała mi się biblijna przypowieść o Dawidzie, królu Izraela. Dawid dopuścił się cudzołóstwa z Batszebą, żoną Uriasza, jednego ze swoich zaufanych żołnierzy. By ukryć swój grzech, wysłał Uriasza na śmierć, ustawiając go w pierwszej linii na polu walki. Później prorok Natan przyszedł do Dawida i powiedział: „Pan odpuszcza ci twój grzech – nie umrzesz, lecz dlatego, że przez ten czyn odważyłeś się wzgardzić Panem, syn, który ci się urodzi, na pewno umrze”<sup>2</sup>. Dawid zerwał z siebie ubrania, padł na kolana z płaczem i błagał Boga o przebaczenie. Był tak rozżalony przepowiednią, że służący bali się przekazać mu wieści o śmierci jego nowonarodzonego syna. Jednak król sam domyślił się, co się stało i ze spokojem wstał, umył się, zjadł i zajął się pogrzebem. Jego zrównoważone zachowanie zdziwiło służbę, która zaczęła poważnie się zastanawiać: „Zaraz, zaraz, czyżby król nie panikował jeszcze przed chwilą? Czyżby nie uniżał się i z płaczem nie błagał Boga o przebaczenie? Skąd teraz nagle taki spokój, co się stało?”<sup>3</sup>

– I was hoping God would change his mind. But he didn't – wytłumaczył Dawid. Wydawało mu się, że zrobił wszystko, co było w jego mocy, jednak przecież coś przeoczył.

Jadąc do North Platte, dokładnie tak się czułem. Owszem, zdjęcia rentgenowskie nie dawały nadziei, a na twarzy mojego syna malowało się śmiertelne wyczerpanie. Jednak jeszcze nie wszystko było stracone. Żył.

Nie mogliśmy się w tym momencie poddać i oplakiwać syna. Trzeba było działać, a każdą wolną chwilę przeznaczyć na modlitwę. „Boże, pomóż nam dojechać do Colorado. Daj nam jeszcze jedną szansę, by uratować Coltona”.

Czułem, że zawiodłem jako ojciec. Jednak może mogłem zrobić coś, by się zrehabilitować. Nadzieja była chyba jedyną rzeczą, która trzymała mnie przy zdrowych zmysłach. Około południa wjechaliśmy do North Platte i najkrótszą drogą udaliśmy się do gabinetu pediatry. Wskoczyłem z samochodu, zawiąłem Coltona w koc, wziąłem go na ręce i ruszyłem do drzwi. Sonja zabrała resztę manatków i poszła za mną. Pod pachą ciągle niosła szpitalną miskę.

---

<sup>2</sup> 2 Sm 12,13-14.

<sup>3</sup> 2 Sm 12,21-23, parafraza.

W recepcji przywitała nas bardzo miła kobieta.

– Moje nazwisko Burpos – powiedziałem. – Rano dzwonił z Imperial w sprawie naszego syna.

– Lekarz właśnie wyszedł na lunch.

„Wyszedł na lunch?!”

– Ale przecież zapowiadaliśmy się wcześniej – odpowiedziałem. – Wiedział, że jesteśmy już w drodze.

– Proszę usiąść w poczekalni – powiedziała uprzejmie recepcjonistka. – Lekarz wróci za dziesięć, może piętnaście minut.

Jej rutynowy ton głosu podpowiedział mi, że nie zdawała sobie sprawy z naszego pośpiechu i aż się we mnie zagotowało ze złości. Jednak ponownie starałem się zachować spokój. Mogłem wybuchnąć, ale krzykiem nic bym w tej sytuacji nie zdziałał. Ponadto jestem pastorem. Nie mogę pozwolić sobie na momenty słabości na oczach innych.

Znaleźliśmy dwa wolne miejsca w poczekalni i już po piętnastu minutach witaliśmy się z lekarzem. Miał wokół siebie uspokajającą aurę wieloletniego doświadczenia, a siwe włosy, okulary i krótki wąsik dodawały mu powagi. Pielęgniarka zaprowadziła nas do gabinetu, gdzie Sonja przekazała lekarzowi wszystkie wyniki badań krwi i zdjęcia rentgenowskie. W pośpiechu zbadał Coltona, jakby chciał nadrobić stracony czas.

– Trzeba zrobić badanie tomograficzne – powiedział. – Musicie pójść do szpitala po drugiej stronie ulicy.

Chodziło mu o Regionalne Centrum Medyczne Great Plains. Dziesięć minut później byliśmy w klinice i wdaliśmy się w decydującą, prawdopodobnie najważniejszą kłótnię w naszym życiu.

## Rozdział siódmy

### **„To chyba już koniec”**

– *Nieeee!*

– Ale Colton, musisz to wypić.

– *Nieeee!* To jest *obrzydliwe!*

Okrzyki Coltona odbijały się echem w klinice. Był przecież tak zmęczony, tak osłabiony, tak wyczerpany ciągłymi wymiotami, a teraz my usilnie staraliśmy się wmusić w

niego tę obrzydliwą, gęstą, ciemnoczerwoną ciecz, której rozsądny dorosły człowiek nie tknąłby z własnej woli za żadne skarby. W końcu przekonaliśmy go, żeby wziął małego łyka, ale oczywiście momentalnie wszystko zwrócił. Sonja zanurkowała z miską, by ratować szpitalną podłogę.

– Ciągłe wymiotuje – wytłumaczyłem technikowi radiologii. – Jak on ma to wypić?

– Bardzo mi przykro, proszę pana... jakoś musi – żebyśmy mogli otrzymać wyraźne tomografy.

– *Pro-o-szę! Proszę, tato, nie każ mi tego już pić!*

Próbowaliśmy wszystkiego. Metodą dobrego i złego policjanta staraliśmy się go nakłonić do wypicia płynu – Sonja namawiała, a ja groziłem i zmuszałem. Jednak im bardziej stanowczo stawiałem sprawę, tym bardziej Colton zaciskał zęby i odmawiał współpracy.

Spróbowałem przemówić mu do rozsądku:

– Colton, jeśli będziesz w stanie to przełknąć, lekarze zrobią dokładne testy, pomogą ci i niedługo będziesz się czuł lepiej. Przecież chcesz wyzdrowieć?

– No tak – przyznał pociągając nosem.

– W takim razie, proszę, weź dwa łyki. No, już.

– *Nieeee, tylko nie toooo!*

Byliśmy zrozpaczeni. Jeśli nie wypije czerwonego płynu, lekarze nie wykonają badania tomograficznego, a bez tomografu nie będą w stanie postawić diagnozy. Bez diagnozy nie pomogą naszemu synowi. Toczyliśmy bój z Coltonem przez ponad godzinę. W pewnym momencie technik zlitował się nad nami.

– Zrobimy badanie tak czy siak. Po prostu postaramy się o jak najlepsze wyniki.

W sali, za osłoną chroniącą przed promieniowaniem, zostali Sonja z technikiem. Stałem obok zobojętniałego Coltona, kiedy ruchomy blat wjeżdżał do dużej, przerażającej rury. Ku mojemu zdziwieniu, technik zatrzymał urządzenie zanim Colton całkowicie zniknął w środku, pozwalając nam mu na kontakt wzrokowy. Maszyna zawyła, a Colton spojrzał na mnie z wyrzutem. Jego twarz ściągnięta była bólem.

Po krótkiej chwili było już po wszystkim. Technik rzucił okiem na zdjęcia i wyprowadził nas z laboratorium. Nie zabrał nas do głównej poczekalni, tylko do oddzielnego pokoju z kilkoma krzesłami ustawionymi pod ścianą.

– Muszą państwo tutaj zaczekać – powiedział i spojrzał na nas posepnie. Nie zauważyłem nawet, że nie poprosił Coltona, by się ubrał po badaniu.

Usiedliśmy we wskazanym pomieszczeniu. Sonja tuliła Coltona, który ufnie opierał głowę na jej ramieniu. Łzy spływały jej po policzkach. Widziałem w jej oczach rezygnację,

nie miała już wiele nadziei. To nie była normalna poczekalnia, technik po prostu nas odseparował. Zobaczył zdjęcia i wiedział, że z naszym synem działo się coś bardzo niedobrego.

Sonja spojrzała na wtulonego w nią Coltona i widziałem, że wspomnienia nie dają jej spokoju. Do tej pory robili wszystko razem, był jej małym chłopcem, jej towarzyszem. Poza tym to niebieskookie niewiniątko o blond włosach było błogosławionym darem z nieba, swego rodzaju ukojeniem po dziecku, które straciliśmy.

Pięć lat temu Sonja była w ciąży z naszym drugim dzieckiem. Byliśmy tym absolutnie zachwyceni, uważaliśmy to nowe życie za dopełnienie naszej rodziny. Kiedy byliśmy tylko we dwójkę, byliśmy po prostu parą. Gdy pojawiła się Cassie, staliśmy się rodziną. Z drugim dzieckiem w drodze powoli zaczęła się kształtować nasza przyszłość – portrety rodzinne, dom pełen radosnego dziecięcego rumoru, dwoje maluchów wyczekujących prezentów i zagląających do swoich skarpet w święta Bożego Narodzenia. Po dwóch miesiącach ciąży Sonja straciła dziecko i nasze nieukształtowane jeszcze wizje momentalnie pękły jak bańki mydlane. Żal i świadomość utraty nienarodzonego dziecka wyniszczały Sonję. Stworzyliśmy w naszym życiu przestrzeń, która nigdy nie została zapełniona.

Chcieliśmy próbować dalej, ale obawy przed utratą kolejnego dziecka tylko pogłębiały nasz smutek. Po kilku miesiącach Sonja znów zaszła w ciążę, a wszystkie początkowe testy wskazywały na zdrowo rozwijający się płód. Jednak tym razem byliśmy sceptyczni, w pewnym sensie baliśmy się pokochać dziecko tak, jak pokochaliśmy to utracone. Jednak po czterdziestu tygodniach, dziewiętnastego maja 1999 roku, Colton Todd Burpo przyszedł na świat i pokochaliśmy go bez pamięci. Dla Sonji ten mały nowonarodzony chłopiec był szczególnym darem od kochającego Ojca Niebieskiego. Teraz, obserwując twarz żony, pochyloną nad bladym Coltonem, wiedziałem, że w duchu zadaje sobie okropne pytania: „Boże, co robisz? Czy zamierzasz odebrać mi również to dziecko?”

Twarc Coltona była wynędzniała i pobladła, oczy zapadły się jeszcze bardziej, a sińce pociemniały i spurpurowiały. Już nawet nie krzyczał ani nie płakał, po prostu siedział bez ruchu.

Znów przypomnieli mi się pacjenci na progu śmierci, zawieszeni między życiem doczesnym a życiem wiecznym. Oczy zaszły mi łzami. Obraz syna rozmazał się, jakbym patrzył na niego przez szybę mokłą od deszczu. Zapłakana Sonja spojrzała na mnie z rezygnacją.

– To chyba już koniec – powiedziała cicho.

## Rozdział ósmy

### ***Wściekłość na Boga***

Po pięciu minutach mężczyzna w białym kitlu wyszedł z pomieszczenia laboratoryjnego. Już nie pamiętam, jak się nazywał, ale na identyfikatorze napisane miał „Radiolog”.

– Państwa syn ma pęknięty wyrostek robaczkowy – powiedział. – Konieczna jest natychmiastowa operacja. Lekarze są już przygotowani i czekają. Proszę za mną.

Zdumieni wyszliśmy za nim z pokoju. Szumiało mi w skroniach. Pęknięty wyrostek?! Czyżby lekarz z Imperial tego kategorycznie nie wykluczył?!

W pokoju zabiegowym Sonja położyła Coltona na szpitalne łóżko na kółkach, pocałowała go w czoło i zrobiła miejsce pielęgniarce niosącej kroplówkę. Na widok igły Colton zaczął krzyczeć i się miotać. Stałem za jego głową i trzymałem za ramiona, starając się uspokoić synka moim głosem. Sonja rozplakała się i próbowała ciałem przytrzymać lewą nogę i rękę Coltona .

Kiedy rozejrzałem się po pokoju, zobaczyłem otaczających nas mężczyzn i kobiety w białych kitlach.

– Chirurg już jest – spokojnie poinformował jeden z nich. – Wyjdźcie na zewnątrz i porozmawiajcie z nim, my postaramy się opanować sytuację.

Niechętnie wycofaliśmy się za zasłonę. Towarzyszyły nam krzyki Coltona „Proooszę, tato! Nie idź!”.

Doktor Timothy O’Holleran czekał na nas w korytarzu. To był ten sam człowiek, który przeprowadził mój zabieg usuwania sutka kilka miesięcy wcześniej. Teraz minę miał bardzo skupioną i zawziętą. Nie przebierał w słowach.

– Pękł wyrostek Coltona, chłopiec nie jest w dobrym stanie. Spróbujemy zajrzeć do środka i go wyczyścić – powiedział.

Zza zasłony słyhać było wrzask: „Tato, Taaaaa-tooooo!” . Zaciskając zęby starałem się skupić na słowach lekarza.

– Upewnialiśmy się w Imperial, czy to nie wyrostek – powiedziała z wyrzutem Sonja.  
– Wykluczyli taką ewentualność.

Moje myśli już wybiegały wprzód w poszukiwaniu choć odrobiny nadziei.



– Jak pan myśli, co z nim będzie? – zapytałem.

– Musimy go wyczyścić. Więcej o jego stanie będziemy wiedzieć dopiero, jak go otworzymy.

Jego ostrożne słowa dzwoniły mi w uszach, jakby były na alarm, podczas gdy wrzaski Coltona niosły się echem w korytarzu. W odpowiedzi na bezpośrednie pytanie lekarz nie zaryzykował żadnych konkretnych stwierdzeń, o niczym nie zapewnił. Jedyne, co powiedział, to że Colton był po prostu w złym stanie. Pomyślałem o dniu, w którym Sonja zadzwoniła z Imperial do mnie do Greely i dała znać, że Colton nie ma już gorączki i że są w drodze. Nie była to zdiagnozowana grypa żołądkowa, a pierwsze oznaki pękniętego wyrostka robaczkowego. Oznaczało to, że trucizna rozchodziła się po ciele naszego małego syna już od pięciu dni. To tłumaczyło jego drastycznie pogarszający się stan. Wyjaśniało to również, dlaczego doktor O'Holleran nie chciał robić nam wielkich nadziei.

Lekarz skinął głową w stronę dźwięków dochodzących z pokoju zabiegowego.

– Chyba lepiej będzie, jak najpierw podamy mu środki uspokajające, a później podłączymy do kroplówki – powiedział i wszedł za zasłonę wydając nowe polecenie. Po chwili dwie pielęgniarki wypchnęły nosze na korytarz i zobaczyłem wijącego się z bólu Coltona. Obrócił się i przekręcił głowę w moją stronę, patrząc na mnie zapadniętymi oczami.

– Tato! Nie pozwól im mnie zabrać!

Zarzekąłem się, że pastor nie ma przywileju utraty panowania nad sobą, szczególnie publicznie. Jednak na widok Coltona po prostu puściły mi nerwy. Po krótkiej rozmowie z lekarzem i podpisywaniu setek dokumentów ubezpieczeniowych biegiem puściłem się wzdłuż korytarza, znalazłem mały pokoik, wpadłem do środka i zatrzasnąłem za sobą drzwi. Serce kołatało mi jak szalone, nie mogłem złapać oddechu. Fale desperacji, złości i frustracji przetaczały się we mnie na przemian, zapierając dech w piersiach.

Kiedy wszyscy panikują, szukają oparcia w ojcu – szczególnie jeśli ojciec jest pastorem. W końcu znalazłem się sam w pokoju, gdzie nikt mnie nie widział i zacząłem wściekać się na Boga.

– *Gdzie jesteś? Czy to w taki sposób traktujesz swoich wysłanników? Czy w ogóle warto jest ci służyć?!* – wrzeszczałem i chodziłem w kółko po pokoju, który wydawał się coraz mniejszy, jakby ściany kurczyły się razem z malejącymi szansami Coltona. Ciągle w oczach miałem obraz pchanego na szpitalnym łóżku Coltona, który wyciąga rączki w moją stronę i krzyczy, żebym go uratował.

Wtedy się zorientowałem, że czekaliśmy za długo. „Mogę już nigdy nie zobaczyć swojego syna żywego” – pomyślałem.

Łzy wściekłości napłynęły mi do oczu i zaczęły strumieniami spływać po policzkach.

– Po historii z nogą, po kamicy nerkowej, po zabiegu usuwania sutka w ten sposób każesz mi uczyć koniec wystawiania mnie na próbę?! – wrzeszczałem na Boga. – Zamierzasz zabrać mojego syna?!

## Rozdział dziewiąty

### **Żółwie minuty**

Po mniej więcej piętnastu minutach opanowałem strumień łez i wyszedłem z pokoju. Pierwszy raz od początku tej ciężkiej rodzinnej próby byłem naprawdę sam. Cały czas chciałem być wsparciem dla Sonji, wsparciem, jakim dobry mąż powinien być dla żony. Znalazłem ją w poczekalni, gdzie z prawie rozładowanego telefonu wydzwaniała do rodziny i przyjaciół. Przytuliłem ją i siedzieliśmy tak, dopóki moja koszula nie przemokła od jej łez i nie zaczęła kleić się do mojej klatki piersiowej. Również wyjąłem komórkę i wykorzystałem resztki baterii, żeby zadzwonić do Terri, mojej sekretarki, by skontaktowała się z kościołem z prośbą o modlitwę za naszego syna. To nie był zwykły, rutynowy telefon. Byłem zdesperowany, potrzebowałem ich wsparcia i liczyłem na to, że wierni załomoczą w bramy niebios, błagając Boga o życie naszego dziecka.

Każdy pastor powinien być niezachwianym filarem wiary, czyż nie? Jednak w tym momencie moja wiara wisiała na cienkim, postrzępionym włosku. Przypomniałem sobie fragment z Pisma Świętego, w którym Bóg odpowiada na modlitwy, ale nie bezpośrednio chorych i umierających, lecz ich *przyjaciół*. Przykładem jest paralytyk, którego przyjaciel modlił się do Boga o uzdrowienie. Jezus, widząc jego wiarę, podszedł do sparaliżowanego i powiedział: „Mówię ci: wstań, weź swoje łoże i idź do domu”<sup>4</sup>. Właśnie w tamtej chwili potrzebowałem tej gorliwej modlitwy innych wiernych z naszej społeczności. Kiedy skończyłem rozmowę z Terri, usiedliśmy z Sonją i modliliśmy się razem. Baliśmy się mieć nadzieję, ale równocześnie baliśmy się ją utracić.

Czas włókł się niemiłosiernie, minuty mijały w żółwym tempie. Znamienną ciszę w poczekalni raz na jakiś czas przerywały przyciszone rozmowy i krótkie wymiany zdań.

Półtorej godziny później pielęgniarka w fioletowym kitlu i z maską chirurgiczną zawieszoną na szyi weszła do poczekalni.

---

<sup>4</sup> Mt 9,6.

– Czy jest tu ojciec Coltona?

Fakt, że przyszła po nas pielęgniarka, a nie sam doktor O'Holleran, oraz ton jej głosu na nowo rozbudziły w nas wątłą nadzieję. „Może Bóg jest dla nas łaskawy mimo naszej głupoty,” pomyślałem. „Może daje nam jeszcze dzień, może dostaliśmy kolejną szansę”.

Wstałem.

– Tak, jestem ojcem Coltona.

– Czy mogę poprosić pana o pomoc? Colton już jest po operacji, ale nadal nie możemy go uspokoić. Ciągłe krzyczy i woła swojego tatę.

Kiedy wywozili Coltona na szpitalnym łóżku, nie mogłem znieść jego okropnych wrzasków. Teraz chciałem je usłyszeć bardziej niż cokolwiek innego. Byłyby najpiękniejszym dźwiękiem na świecie.

Pozbieraliśmy z Sonją wszystkie rzeczy i ponownie poszliśmy za pielęgniarką w stronę podwójnych szerokich drzwi prowadzących na oddział chirurgiczny. Nie doszliśmy nawet do sali pooperacyjnej, ponieważ po drodze wpadliśmy na dwie pielęgniarki pchające korytarzem łóżko Coltona. Był przytomny i ewidentnie szukał mnie wzrokiem. W pierwszym odruchu chciałem po prostu znaleźć się jak najbliżej niego; gdyby nie obecność pielęgniarek pewnie wdrapałbym się do niego i go przytulił.

Pielęgniarki zatrzymały się na krótką chwilę. Oboje ucałowaliśmy Coltona, który nadal wyglądał mizernie i blado.

– Hej, mały, jak się masz? – zapytałem.

– Cześć mamó, cześć tato – odpowiedział i uśmiechnął się niemrawo.

Po tym krótkim przywitaniu pielęgniarki ruszyły z Coltonem w stronę windy. Kilka minut później dotarliśmy do wąskiego szpitalnego pokoiku na końcu długiego korytarza. Sonja wyszła na chwilę, by wraz z pielęgniarką zająć się wszystkimi dokumentami, a ja zostałem przy Coltonie. Siedziałem na szpitalnym krześle i chłonałem każdy ruch synka potwierdzający, że dzieciak żył.

Taki maluch w szpitalnym łóżku dla dorosłych wydaje się mniejszy niż zwykle. Ważył niecałe dwadzieścia kilogramów i ginął pod kołdrą, jego stopy nie sięgały nawet jednej trzeciej materaca. Oczy nadal miał sine i podkrążone jak przed dwiema godzinami, ale wydawało się, że jego tęczęwki odzyskiwały żywy, niebieski kolor.

– Tato? – zapytał Colton i spojrzał na mnie poważnie.

– Słucham?

Patrzył mi prosto w oczy i nie spuszczać wzroku ani na chwilę powiedział:

– Tato, wiesz, że prawie umarłem?

Strach ścisnął mnie za gardło. „Jakim cudem przyszło mu to do głowy?”

Czyżby usłyszał rozmowę personelu medycznego? Mimo narkozy dotarły do niego słowa operujących go chirurgów? My z pewnością nie powiedzieliśmy przy nim nic sugerującego, że mógłby umrzeć. Owszem, cały czas obawialiśmy się z Sonją, że jest o krok od śmierci, wręcz byliśmy tego pewni po informacji o wyrostku, który zatrzymał jego organizm od pięciu dni. Jednak byliśmy bardzo ostrożni i nie daliśmy Coltonowi do zrozumienia, jak krytyczny był jego stan.

Poczułem, jak łzy napływają mi do oczu. Niektórzy rodzice panikują, gdy ich nastoletnie dzieci chcą zacząć rozmowę o współzyciu. Jeśli myślicie, że to jest aż tak trudne, spróbujcie porozmawiać z przedszkolakiem o śmierci. Colton odwiedzał ze mną domy starców, miejsca, w których ludzie dawali swoim bliskim zgodę, by odeszli. Jednak ja nie miałem zamiaru na to pozwolić mojemu synowi. Jeszcze nie wszystko było stracone, więc nie chciałem, żeby towarzyszyła mu świadomość bliskiej śmierci.

Szybko się opanowałem, uśmiechnąłem się i powiedziałem spokojnie:

– Skup się teraz na tym, żeby szybko wyzdrowieć, dobrze?

– Dobrze, tato.

– Będziemy tu cały czas z tobą, modlimy się za ciebie – dodałem. – A teraz powiedz, co mamy ci przywieźć? Mamy wziąć z domu jakieś twoje zabawki? – zapytałem, zmieniając temat.

Nawet nie zdążyliśmy porządnie usadowić się w nowym pokoiku, kiedy do szpitala przyjechało trzech członków naszej rady kościoła. Byliśmy im za to bardzo wdzięczni. Czasami zastanawiam się, jak radzą sobie ludzie, którzy nie należą do wspólnoty kościelnej lub nie mają bliskiego kontaktu z rodziną. Skąd biorą wsparcie w najbardziej kryzysowych momentach? Cassie została u Normy i Bryana w Imperial, zanim moja matka Kay dojechała do nas z Ulysses w Kansas, by się nią zająć. Rodzina Bryana mieszka w North Platte i również przyszła nam z pomocą. Wierni z kościoła wspierali nas w ciężkich chwilach, co zmieniło nasze nastawienie do opieki duszpasterskiej w obliczu prób i zmartwień. Kiedyś tylko w to wierzyliśmy, teraz jesteśmy gotowi o to walczyć.

Po chwili Sonja wróciła do pokoju, a zaraz za nią dołączył do nas doctor O'Holleran. Colton leżał spokojnie, kiedy chirurg podniósł koldrę, by pokazać nam miejsce nacięcia – długą poziomą linię wzdłuż prawej części jego małego brzuszka. Rana opatrzona była przesiąkniętymi krwią bandażami. Colton zaczął pochlipywać ze strachu, gdy lekarz zmieniał opatrunek. Myślę, że jeszcze nie czuł bólu – prawdopodobnie nadal był pod wpływem znieczulenia, które podano mu przed operacją.

Wnętrznosci Coltona były tak zanieczyszczone trucizną z wyrostka, że doktor O'Holleran postanowił nie zszywać nacięcia, by pozwolić im się odsącać. Teraz lekko rozchylił ranę.

– Widzą państwo tę szarą tkankę? – zapytał. – Właśnie tak wyglądają zainfekowane organy wewnętrzne. Colton nie będzie mógł opuścić szpitala, dopóki wszystkie szare tkanki nie odzyskają naturalnego różowego koloru.

Z obu stron brzucha Coltona wystawały długie plastikowe rurki. Na końcu każdej z nich znajdowały się „granaty”, nazywane tak przez lekarzy ze względu na kształt. Były to małe ręczne pompki, które faktycznie wyglądały jak plastikowe przezroczyste granaty. Następnego ranka doktor O'Holleran poinstruował nas, jak zaciskać granaty by odsącać ropę z wnętrznosci oraz jak poprawnie zakładać świeże opatrunki. Przez kolejne kilka dni przed południem pojawiał się w pokoju Coltona, sprawdzał stan rany i zmieniał opatrunki. Podczas tych wizyt Colton krzyczał, jakby obdzierano go ze skóry, i zaczął kojarzyć lekarza z całym złem, które do tej pory mu się przytrafiło.

Wieczorami, kiedy lekarza już nie było, sam musiałem pompkami odsącać ropę. Przed operacją Sonja była na ciągłym posterunku przez prawie tydzień, a po operacji czuwała przy jego łóżku non stop. Jednak oczyszczanie rany było dość krwawą robotą, która okazała się ponad jej siły. Poza tym przynajmniej trzy osoby musiały trzymać wierzgającego się z bólu chłopca. Podczas gdy ja rytmicznie ścisnąłem granaty, Sonja wraz z dwiema pielęgniarkami unieruchamiała naszego syna. Uspokajała go, szepcząc ciepłe słowa, a maluch tylko krzyczał i łkał z bólu.

## Rozdział dziesiąty

### ***Nietypowe modlitwy***

Przez pierwszy tydzień po zabiegu usunięcia wyrostka robaczkowego niewiele się zmieniało, Colton wymiotował, a my nieustannie odsysaliśmy z jego rany truciznę za pomocą plastikowych rurek i pompek-granatów doktora O'Hollerana. Dopiero po jakimś czasie stan Coltona zaczął stopniowo się poprawiać. Wymioty ustały, skóra odzyskała kolor, a dzieciak nabrał apetytu. Wiedzieliśmy, że wszystko idzie w dobrym kierunku, kiedy zaczął podnosić się na łóżku, rozmawiać z nami i grać w gry na konsoli wideo zainstalowanej przez pielęgniarki w jego pokoju. Nawet zainteresował się nowym pluszowym lwem, którego

Cassie sprezentowała mu kilka dni wcześniej. Po siedmiu długich dniach spędzonych w szpitalu w North Platte personel medyczny ostatecznie wydał zgodę na powrót naszego syna do domu.

Byliśmy z Sonją przemęczeni, ale szczęśliwi, jak żołnierze po długiej zwycięskiej walce. Trzynastego marca spakowaliśmy wszystko, co uzbierało się podczas naszego tygodniowego pobytu w szpitalu, w plastikowe siatki i materiałowe torby i ruszyliśmy w stronę windy. Sonja niosła tuzin pożegnalnych balonów Coltona, a ja pchałem syna na wózku inwalidzkim.

Drzwi windy już niemalże się zamknęły, kiedy na korytarzu pojawił się doktor O'Holleran. Biegł w naszą stronę wymachując plikiem papierów.

– Nie możecie jeszcze jechać! Nie możecie, musicie zostać! – krzyczał, a jego głosem odbijał się od szpitalnych ścian. – Mamy tutaj pewien problem!

Dobiegł do windy i wyjaśnił, że ostatnie badania krwi wykazały gwałtowny, nienaturalny wzrost białych krwinek.

– To prawdopodobnie kolejny ropień – powiedział. – Możliwe, że czeka nas druga operacja.

Na dźwięk tych słów Sonja zbladła. Wyglądała, jakby za chwilę miała zemdleć. Oboje byliśmy na granicy wytrzymałości, od tygodnia przypominaliśmy chodzące zombie. Colton z miejsca się rozplakał.

Kolejne badanie tomograficzne wykazało dwie nowe zaropiałe, zainfekowane kieszonki w podbrzuszu Coltona. Jeszcze tego samego popołudnia zespół chirurgów z doktorem O'Holleranem na czele ponownie operował naszego małego chłopca, żeby wyczyścić i odsączyć organy. Tym razem nie byliśmy z Sonją przerażeni; śmierć już od jakiegoś czasu nie wisiała nad Coltonem, złowieszczy cień zniknął z jego twarzy. Jednak teraz martwiliśmy się o coś innego: Colton nie jadł od ponad dziesięciu dni. Z natury był chudy i ważył około dwudziestu kilogramów. Teraz została z niego sama skóra i kości, jego łokcie i kolana wydawały się nienaturalnie duże, a z twarzy przypominał wygłodniałą sierotę.

Po operacji poruszyłem ten temat z doktorem O'Holleranem.

– Przez ostatnie dwa tygodnie prawie nic nie tknął, zjadł trochę galaretki i rosółu – powiedziałem. – Ile małe dziecko może wytrzymać bez jedzenia?

Doktor O'Holleran umieścił Coltona na oddziale intensywnej terapii, gdzie przez rurkę otrzymywał specjalny płynny pokarm. Był to również gest doktora O'Hollerana skierowany w naszą stronę – nie spaliśmy niemalże od momentu, kiedy Colton przestał jeść i byliśmy zmordowani. Oddział intensywnej terapii był dla nas szansą na odpoczynek.

– Nie martwcie się, zaopiekujemy się Coltonem – powiedział. – Zostanie mu przydzielona pielęgniarka, ktoś będzie miał na niego oko przez całą noc.

Muszę przyznać, że te słowa brzmiały jak zbawienie, jak oaza na pustyni wyczerpania. O'Holleran miał rację. To była pierwsza noc, którą spędziliśmy z Sonją razem, odkąd opuściliśmy dom Harrisów w Greeley. Rozmawialiśmy, płakaliśmy, dodawaliśmy sobie otuchy. Szybko zasnęliśmy i spaliśmy twardo, jak rozbitkowie podczas pierwszej ciepłej, suchej nocy.

Po nocy na intensywnej terapii Colton został przeniesiony do innego szpitalnego pokoju i znowu zaczęła się pełna niepewności zabawa w „poczekamy-zobaczymy”. Zastanawialiśmy się, kiedy będziemy mogli opuścić szpital i wrócić do domu, do naszego normalnego życia. Jednak pojawiły się kolejne problemy – wyglądało na to, że jelita Coltona przestały funkcjonować. Nie był w stanie się wypróżnić i z godziny na godzinę czuł się coraz gorzej.

– Tato, strasznie boli mnie brzuch – zalił się z łóżka.

Lekarz powiedział, że wystarczyłoby, gdyby Colton puścił gazy, to byłby już dobry znak. Spacerowaliśmy z nim długimi szpitalnymi korytarzami, żeby coś w środku rozruszać, ale zwinięty z bólu Colton mógł tylko powoli iść za nami powłócząc nogami. Nic nie przynosiło ulgi. Czwartego dnia po operacji już tylko leżał w łóżku trzymając się za brzuch. Tego popołudnia doktor O'Holleran przyniósł kolejne złe wieści.

– Wiem, że dużo już przeszliście i jest mi z tego powodu bardzo przykro – powiedział. – Jednak my zrobiliśmy wszystko, by pomóc Coltonowi. Najlepiej byłoby, gdybyście zabrali go do szpitala dziecięcego w Omaha lub w Denver.

Przez ostatnie piętnaście dni przespaliśmy może w sumie pięć nocy. Po ponad dwóch wyczerpujących tygodniach opieki nad Coltonem wszystko niemalże wróciło do normalności – już staliśmy w windzie z pożegnalnymi balonami, drzwi się zamykały i nagle życie naszej rodziny runęło po raz kolejny. Nasz syn znów musiał znosić okropny ból i nie było widać końca jego cierpień. Nie wiedzieliśmy nawet, jak ta historia się skończy.

Kiedy wydawało się, że gorzej już być nie może, nagle w stronę Środkowego Zachodu zaczęła przemieszczać się burza śnieżna. Po kilku godzinach głębokie zasy py śniegu leżały wszędzie wkoło, szpitalne drzwi i samochody na parkingach były zasypane. Niezależnie od tego, czy wybralibyśmy ośmiogodzinną jazdę do szpitala w Omaha, czy trzygodzinną podróż do Denver, nie było mowy o ruszeniu samochodu. Po takiej zamieci tylko transport drogą powietrzną wchodził w grę. Sonja była załamana.

– Już dłużej tak nie mogę! – powiedziała i rozplakała się po raz kolejny.

Około dziesiątej rano grupa wiernych z naszego kościoła postanowiła wznowić modlitwy za zdrowie Coltona. Nasi najbliżsi przyjaciele z parafii obdzwonili wszystkich w okolicy i chwilę później około osiemdziesiąt osób zebrało się w kościele na wspólną mszę. Niektórzy przyjechali z pobliskich parafii, by dołączyć się do modlitwy za naszego syna.

Brad Dillan zadzwonił do mnie na komórkę i dał znać o zgromadzeniu.

– O co konkretnie mamy się modlić? – zapytał.

Dziwnie czułem się, tłumacząc mu, co obecnie dolega Coltonowi i co według O'Hollerana byłoby dobrym znakiem. Ta noc może być jedyną nocą w historii, kiedy osiemdziesiąt osób wspólnie modliło się o czyjeś kiszki.

Oczywiście prosili Boga również o poprawę warunków pogodowych, żebyśmy mogli bezpiecznie dojechać do szpitala dziecięcego w Denver, oraz ogólnie o stan zdrowia Coltona. Już po godzinie mieliśmy odpowiedź na pierwszą z prośb – Colton poczuł się lepiej i jeszcze tego wieczoru mógł skorzystać z toalety. Następnego ranka beztrudno bawił się w swoim szpitalnym pokoju, jakby ten kilkunastogodzinny koszmar nigdy się nie zdarzył. Obserwowaliśmy go z Sonją i nie mogliśmy uwierzyć własnym oczom: poza tym, że był niesamowicie wychudzony, nasz syn znów był sobą. W mniej niż dwanaście godzin wszystko znów wróciło do normy.

Około dziewiątej rano doktor O'Holleran przyszedł na codzienną kontrolę. Był ewidentnie zaskoczony widokiem rozradowanego, tryskającego energią Coltona, bawiącego się figurkami superbohaterów. Przez moment stał w drzwiach, przyglądając się dzieciakowi w milczeniu, po czym przeprowadził rutynowe badanie i zapisał Coltona na kolejną rundę badań. Musieliśmy się upewnić, czy wszystko goiło się jak należy. Tym razem Colton w podskokach pobiegł do laboratorium badań tomograficznych. Zostaliśmy w szpitalu jeszcze ponad dobę, żeby nie powtórzyć błędu sprzed kilku dni i mieć pewność, że nasz syn faktycznie wraca do zdrowia. Przez te ostatnie trzydzieści sześć godzin pielęgniarki odwiedzały nas częściej niż do tej pory. Stawały w progu i ze zdumieniem przyglądały się naszemu maluchowi.

Rozdział jedenasty

***Colton Burpo, kwestarz***



Po przyjeździe do domu ze szpitala spaliśmy niemalże przez tydzień. Oczywiście trochę przesadzam, ale nie jest to zbyt dalekie prawdy. Byliśmy z Sonją kompletnie wyczerpani, czuliśmy się tak, jakbyśmy przetrwali siedemnastodniowy wypadek samochodowy. Nasze obrażenia nie były widoczne gołym okiem, ale ciągłe napięcie i zmartwienia dały nam się we znaki.

Jednego z pierwszych wieczorów po powrocie rozmawialiśmy w kuchni o rodzinnych finansach. Sonja stała nad składanym stolikiem obok naszej mikrofalówki i przeglądała ogromną stertę poczty, która zebrała się podczas naszego pobytu w szpitalu. Za każdym razem, gdy otwierała kopertę, sięgała po długopis i zapisywała jakiś numer na kartce. Nawet z drugiego końca pomieszczenia, gdzie stałem, opierając się o szafki kuchenne, widziałem, jak kolumna liczb robiła się przerażająco długa.

W końcu Sonja odłożyła długopis na mikrofalówkę i spojrzała na mnie.

– Czy wiesz, ile muszę w tym tygodniu zapłacić za wszystkie rachunki?

Jako firmowa i rodzinna księgowa Sonja często zadawała mi to pytanie. Pracowała na pół etatu jako nauczycielka, więc mieliśmy stały dochód, jednak był on niewielki. Moja pensja pastora zebrana z darowizn naszej małej, oddanej społeczności kościelnej również nie była imponująca. Znaczna część naszych zarobków pochodziła z działalności gospodarczej, jaką prowadziliśmy, a dochody te zmieniały się w zależności od sezonu. Co kilka tygodni Sonja prezentowała mi wszystkie wyliczenia dotyczące zarówno opłat domowych, jak i zobowiązań związanych z firmą. Teraz doszło do tego kilka rachunków ze szpitala.

Próbując oszacować odpowiedź, szybko przeliczyłem wszystko w głowie.

– Pewnie około 23 tysięcy dolarów?

– Właśnie tak – potwierdziła skinieniem głowy i westchnęła.

Równie dobrze mógł to być milion. Przez moją połamaną nogę i późniejszą operację usuwania sutka nie byłem w stanie montować bram garażowych i już dawno zużyliśmy wszystkie nasze oszczędności. Kiedy powoli wracałem do lepszej formy, spadła na nas choroba Coltona, wyłączając mnie z zawodu niemalże na kolejny miesiąc. Szanse na zdobycie 23 tysięcy dolarów były tak nikłe, jak nagła wygrana na loterii. A ponieważ w loteriach nie braliśmy udziału, w rzeczywistości były równe zero.

– Masz jakieś należności, które niedługo wpłyną na konto? – zapytała Sonja.

Pytanie padło z czystej formalności – dobrze znała odpowiedź. Z rezygnacją pokręciłem głową.

– Część z nich może poczekać – powiedziała wskazując głową na stertę kopert na blacie. – Ale te „dziesiątki” musimy niedługo spłacić.

Miasteczko Imperial jest naprawdę małe. Tak małe, że mieszkańcy wszędzie biorą wszystko „na zeszyt”, nawet na stacji benzynowej, w sklepie spożywczym czy w sklepie ze sprzętem komputerowym. Jeśli musimy więc zatankować lub kupić chleb, po prostu wpadamy na moment i zapisujemy, co wzięliśmy. Dziesiątego dnia każdego miesiąca Sonja idzie na piętnastominutowy spacer po centrum i wyrównuje rachunek. Te „dziesiątki” to jedna z największych zalet mieszkania w małym miasteczku. Jednak z drugiej strony pojawia się duży problem, gdy nie jest się w stanie swoich „dziesiątek” spłacić na czas.

– Mogę iść do miasta i wyjaśnić sytuację, poprosić o więcej czasu – powiedziałem i westchnąłem z rezygnacją.

– Powoli zaczynają też pojawiać się rachunki za usługi medyczne. Jeden z nich sięga 34 tysięcy dolarów – powiedziała i podniosła plik kopert nieco grubszych od pozostałych.

– Ile pokryje ubezpieczenie?

– Odliczą od kwoty 3 200 dolarów.

– W tej chwili nie jesteśmy nawet w stanie tego spłacić – podsumowałem.

– Czy nadal chcesz, żebym wypisała czek z darowizną? – zapytała Sonja, mając na myśli nasze cotygodniowe dotacje parafialne.

– Oczywiście – odpowiedziałem bez wahania. Bóg właśnie oddał nam naszego syna; nie było mowy, byśmy się mu nie odwdzięczyli.

Dokładnie w tym momencie Colton wszedł do kuchni i zaskoczył nas nietypowym stwierdzeniem, które zbiło nas z tropu.

– Tato, Pan Jezus wyleczył mnie używając rąk doktora O’Hollerana – powiedział stojąc w drzwiach i zdecydowanie oparł ręce na biodrach. – Musicie mu zapłacić – dodał odwracając się na pięcie i wymaszerował do salonu. Jakby nigdy nic.

Wymieniliśmy z Sonją zdumione spojrzenia. „Że co?”

Byliśmy naprawdę zaskoczeni. Cały czas wydawało nam się, że doktor O’Holleran był dla Coltona wcieleniem wszelkiego zła, kojarzył się z badaniami, cięciami, odciąganiem ropy i z ogromnym bólem. Nagle tydzień po wyjściu ze szpitala okazuje się, że nasz syn zmienił zdanie.

– No, chyba jednak lubi doktora O’Hollerana – stwierdziła Sonja.

Nawet jeśli Colton w głębi duszy wybaczył doktorowi, zdanie które wypowiedział w kuchni, wydawało się dosyć dziwne. Jaki czterolatek analizuje finansową sytuację rodziny i domaga się spłaty długu? Szczególnie względem kogoś, za kim specjalnie nie przepadał? Do

tego sposób, w jaki to ujął: „Tato, Pan Jezus wyleczył mnie używając rąk doktora O’Hollerana”. Zdumiewające!

Jeszcze bardziej zdumiewające okazało się to, co zdarzyło się chwilę później. Nie wiedzieliśmy, co zrobić w kwestii 23 tysięcy dolarów długów, które mieliśmy natychmiast spłacić. Przez pewien czas braliśmy nawet pod uwagę kredyt w banku, ale okazało się, że nie było to konieczne. Najpierw moja babcia Ellen mieszkająca w Ulysses w Kansas wysłała czek, by pomóc nam pokryć koszty medyczne. W tym samym tygodniu wyjęliśmy ze skrzynki jeszcze kilka czeków na 50, 100 czy 200 dolarów. Do każdego dołączona była kartka z krótką notatką, na przykład „Dowiedzieliśmy się o waszych problemach i modlimy się za was” lub „Bóg podpowiedział mi, żebym wam to wysłał, bo będziecie tego potrzebować”.

Pod koniec tygodnia nasza skrzynka znowu była pełna – tym razem nie były to rachunki, a darowizny. Parafianie, bliscy przyjaciele, a nawet ludzie, których nigdy nie poznaliśmy osobiście, wspierali nas, mimo że o to nie prosiliśmy. Wszystkie чеki opiewały w sumie na kilkanaście tysięcy dolarów. Ze zdumieniem stwierdziliśmy, że nadesłane чеki razem z pieniędzmi od mojej babci pokrywały pierwszą turę rachunków niemalże co do centa.

\*\*\*

Colton władował się w tarapaty niedługo po tym, jak został małym kwestarzem. Nie było to nic wielkiego, po prostu w domu kolegi wdał się w jakąś bójkę o zabawki. Tego wieczoru zawołałem go do kuchni na poważną rozmowę. Siedziałem przy stole i poprosiłem, żeby usiadł koło mnie. Wdrapał się na krzesło, ukląkł na nim, oparł łokcie na stole i przyglądał mi się niebieskimi oczami z zakłopotaniem.

Każdy rodzic wie, jak ciężko rozmawiać z przedszkolakiem o dyscyplinie, ignorując jego słodkie, niewinne spojrzenie. W końcu udało mi się przybrać poważny wyraz twarzy.

– Colton – zacząłem, – czy wiesz, o co mi chodzi?

– Tak, wiem. Nie chciałem się podzielić – powiedział wbijając wzrok w blat stołu.

– Dokładnie tak. Colton, tak się nie robi. Nie należy tak traktować innych ludzi.

– Tak, wiem, tato. Jezus powiedział mi, że mam być dobry – odparł, podnosząc na mnie wzrok. Jego odpowiedź lekko zbiła mnie z tropu. Kto by się spodziewał takich słów z ust czterolatka: „Jezus powiedział mi...” Zignorowałem to. „Jego katecheci w szkółce niedzielnej muszą być całkiem niezli” – pomyślałem.

– W takim razie Jezus miał rację, prawda? – powiedziałem i zakończyłem rozmowę. Chyba nawet nie ukarałem Coltona za jego zachowanie. W końcu słowa Jezusa przewyższyły rangą moje rady.

Kilka tygodni później zacząłem przygotowywać się do pogrzebu w naszym kościele. Zmarły nie należał oficjalnie do naszej parafii, jednak mieszkańcy miasta, którzy nie uczestniczą regularnie w mszy, często proszą o kościelny pogrzeb dla członka rodziny. Czasami zmarły jest przyjacielem lub krewnym jednego z parafian.

Colton prawdopodobnie usłyszał naszą rozmowę z Sonją na temat zbliżającej się ceremonii, ponieważ pewnego dnia wszedł do salonu i ciągnąc mnie za rękaw zapytał:

– Tato, a co to jest pogrzeb?

Odprawiłem za życia Coltona już kilka pogrzebów w naszym kościele, jednak dopiero teraz maluch zaczynał interesować się światem i tym, jak wszystko funkcjonuje.

– Pogrzeb odbywa się wtedy, kiedy ktoś umiera. Jeden pan w mieście umarł i jego rodzina przyjdzie do kościoła, żeby się z nim pożegnać.

Colton momentalnie zeszywniał. Przybrał poważny wyraz twarzy i spojrzał mi w oczy.

– Czy ten pan miał Jezusa w sercu?

Mój syn zapytał mnie, czy zmarły był chrześcijaninem i czy wierzył w Jezusa jako w zbawiciela. Poważny ton malucha zbił mnie z tropu.

– Colton, nie jestem pewien – odpowiedziałem. – Nie znałem go za dobrze.

Zmartwienie wymalowało się na twarzy Coltona.

– *Musiał* mieć Jezusa w sercu. *Musiał!* Inaczej nie będzie mógł pójść do nieba!

Colton znów zaskoczył mnie swoim przejęciem. Przecież nawet nie znał tego człowieka. Starłem się go uspokoić.

– Rozmawiałem z jego rodziną i powiedzieli mi, że miał. Nie martw się.

Chyba nie był do końca przekonany, ale ewidentnie mu ulżyło. Uśmiechnął się do mnie i wrócił do zabawek.

Po raz kolejny w przeciągu kilku tygodni pomyślałem: „No proszę, ci nauczyciele ze szkółki niedzielnej odwalają kawał dobrej roboty!”

W ten weekend Sonja ubrała Cassie i Coltona w ich odświętne niedzielne stroje i ruszyliśmy do naszej parafii, by przygotować się do pogrzebu. Kiedy zatrzymałem samochód na podjeździe, karawan Domu Pogrzebowego „Liewer” stał już przed kościołem. Wypolerowana dębowa trumna została wniesiona do zakrystii.

Dwie pary drzwi prowadziły z zakrystii do kaplicy, gdzie rodzina zbierała się na „kwiatowe nabożeństwo”. Przed przeprowadzką do Imperial nigdy wcześniej nie słyszałem o czymś takim jak „kwiatowe nabożeństwo”, ale teraz uważam, że jest to naprawdę piękny zwyczaj. Rodzina zbiera się przed ceremonią pogrzebową, a prowadzący pogrzeb odczytuje, od kogo jest każdy wieniec, bukiet czy kwiat wraz z dołączonymi do nich wiadomościami. („Rodzina Smithów przesyła te piękne purpurowe azalie”).

Pastor również powinien być na „kwiatowym nabożeństwie”. Zajrzałem do kaplicy i wymieniłem znaczące spojrzenie z osobą prowadzącą pogrzeb. Potakująco skinęła głową na znak, że są gotowi. Odwróciłem się, by zawołać Coltona i Cassie, a wtedy chłopiec wskazał palcem trumnę.

– Co to jest, tato?

– To jest trumna – powiedziałem starając się nie komplikować sprawy. – Zmarły leży w środku.

Nagle na twarzy Coltona znów pojawiła się troska. Zacisnął dłonie w pięści i uderzył się w uda.

– Ale czy ten pan miał w sobie Jezusa?! – zapytał niemalże krzyżąc i ponownie wskazał trumnę palcem. Sonja wytrzeszczyła oczy ze zdziwienia i oboje spojrzeliśmy na drzwi prowadzące do kaplicy w obawie, że rodzina zmarłego usłyszy wrzaski naszego dziecka.

– *Musiał*, po prostu *musiał*! – kontynuował Colton. – Nie będzie mógł pójść do nieba, jeśli nie miał Jezusa w swoim sercu!

Sonja złapała Coltona za ramiona i usilnie starała się go uciszyć. Nie było to jednak takie proste. Niemalże płacząc, Colton wykręcał się z uścisku Sonji i krzyczał:

– Tato, on *musiał* mieć w sobie Jezusa, *musiał*!

Sonja wyprowadziła go z zakrystii i poszła z nim pod główne wejście do kościoła. Cassie pobiegła za nimi. Przez szklane drzwi widziałem, jak żona pochyła się nad dziećmi i cierpliwie im coś tłumaczy. Po chwili Cassie wzięła nieudobruchanego brata za rękę i zaczęła iść w moją stronę.

Nie do końca wiedziałem, co o tym myśleć. Dlaczego Colton tak bardzo przejmował się losem tego nieznanego człowieka? Dlaczego martwiło go, czy aby na pewno „miał Jezusa w sercu”?

Jednego byłem pewien: Colton był w takim wieku, że czegokolwiek sobie nie pomyślał, musiał powiedzieć to na głos. Pewnego dnia zabrałem go do restauracji w Madryd w Nebrasce. Po chwili wszedł mężczyzna z bardzo długimi, prostymi włosami, a Colton

zapytał donośnie, czy to chłopak czy może dziewczyna. Od tamtego incydentu trzymaliśmy Coltona z daleka od pogrzebów, jeśli nie byliśmy pewni, czy zmarły był chrześcijaninem. Po prostu nie wiedzieliśmy, jak zareagowałby nasz mały syn.

## Rozdział dwunasty

### ***Naoczny świadek***

Czwartego lipca, cztery miesiące po usunięciu wyrostka, z okazji Święta Niepodległości pojechaliśmy w odwiedziny do naszego nowonarodzonego siostrzeńca. Dopiero podczas tego wyjazdu zorientowaliśmy się z Sonją, że coś niezwykłego musiało spotkać naszego syna. W międzyczasie Colton kilka razy zachowywał się dość dziwnie. W pewnym momencie nalegał przecież, żebyśmy zapłacili doktorowi O'Holleranowi, ponieważ Jezus wyleczył go rękami lekarza. Jego spontaniczne stwierdzenia, że Jezus „powiedział mu”, żeby był dobry dla innych, lub cyrk, jaki odstawił podczas pogrzebu w Imperial, również powinny były przykuć naszą uwagę. Jednak były to tylko pojedyncze sceny wplecione w zabiegane życie rodzinne i firmowe. Wydawały się wtedy całkiem słodkie. No może poza tym pogrzebem, kiedy Colton zachowywał się naprawdę dziwnie.

Jednak biorąc pod uwagę jego wiek, nie były to ekstremalne dziwactwa wykraczające poza wszelkie normy. Zaczęliśmy coś podejrzewać dopiero podczas podróży do Dakoty Południowej. Kiedy przejeżdżaliśmy przez centrum North Platte, zacząłem się z Coltonem trochę droczyć.

– Patrz, Colton, jeśli skęcilibyśmy tutaj, moglibyśmy wrócić do szpitala – powiedziałem. – To co, odbijamy w prawo? Wracamy?

Podczas tej rozmowy Colton powiedział, że jego dusza opuściła jego ciało, że rozmawiał z aniołami i siedział na kolanach u Jezusa. Nie mógł kłamać, ponieważ dobrze wiedział, co robiliśmy, podczas gdy pierwszy raz leżał w sali operacyjnej.

– Siedziałeś sam w małym pokoiku i się modliłeś, a mama była w jakimś dużym pokoju i też się modliła i ciągle rozmawiała przez telefon.

Nawet Sonja nie wiedziała, że zamknąłem się w tym pokoju i ze łzami w oczach wygrażałem Bogu.

Nagle w samochodzie wszystkie elementy układanki wskoczyły na miejsce, pojedyncze wydarzenia z ostatnich kilku miesięcy zaczęły łączyć się w spójną całość. Colton przecież nie po raz pierwszy sygnalizował, że przeżył coś niezwykłego – jednak nigdy jeszcze nie mówił o tym tak otwarcie.

Kiedy dojechaliśmy do Sioux Falls, nie mieliśmy nawet czasu przedyskutować opowieści Coltona. Zajęliśmy się podziwianiem naszego małego, słodkiego siostrzeńca i rozmowami z rodziną, a później poszliśmy razem na spacer nad wodospad.

Fala wspomnień zalała mnie dopiero tuż przed pójściem spać. Leżąc w łóżku przypomniałem sobie tę okropną chwilę, którą spędziłem zamknięty w szpitalnej klitce, bluzniąc na Boga. Byłem przekonany, że nikt mnie nie widział, że ten moment słabości i wahania to moja tajemnica. W oczach Sonji byłem silnym człowiekiem wiary. Jednak mój syn twierdził, że mnie widział...

Nasza krótka wycieczka minęła bez większych przygód i po udanym weekendzie wróciliśmy do Imperial na niedzielne nabożeństwo. W nadchodzącym tygodniu Sonja miała jechać ze swoją koleżanką Sherri Schoenholz do Colorado Springs na Pike's Peak Worship Festival, konferencję o muzycznych duszpasterstwach.

W związku z tym opieka nad dziećmi spadła na mnie.

Jak każda rozważna rodzina mieszkająca na obszarze Alei Tornad, mamy w piwnicy schron. Nasz jest częściowo umeblowany – poza dużym wielofunkcyjnym pokojem wybudowaliśmy również małe biuro i łazienkę. Pewnego wieczoru siedzieliśmy z Coltonem na dole. Mogłem spokojnie przygotowywać kazanie, obserwując syna bawiącego się zabawkami.

Podczas operacji Colton miał trzy lata i dziesięć miesięcy, więc w maju świętowaliśmy jego czwarte urodziny. Był już oficjalnie dużym chłopcem. To przyjęcie urodzinowe było dla nas szczególnie ważne, ponieważ kilka miesięcy wcześniej niemalże straciliśmy naszego syna.

Nie jestem w stanie przypomnieć sobie, jaki to był dzień tygodnia, kiedy siedzieliśmy z Coltonem w piwnicznym biurze. Pamiętam jednak, że tego wieczoru Cassie nie było w domu, prawdopodobnie została na noc u jednej z koleżanek. Przyglądając się pogrążonemu w zabawie Coltonowi, znów myślami wróciłem do naszej rozmowy o Jezusie i aniołach. Chciałem go o to podpytać, wyciągnąć z niego coś więcej. W tym wieku mali chłopcy nie są zbyt rozmowni, nie opowiadają historii ze szczegółami. Jednak na każde bezpośrednie pytanie odpowiedzą szczerze i otwarcie.

Nie chciałem bombardować go sugestywnymi pytaniami, jeśli faktycznie przeżył coś niezwykłego. Przekazywaliśmy Coltonowi naszą wiarę od momentu jego narodzin. Jednak w obliczu spotkania z Jezusem i aniołami nie mogłem już być jego nauczycielem. Zostałem uczniem mojego małego syna!

Podnosząc głowę znad niedokończonego kazania jeszcze raz spojrzałem na Coltona, który wziął do ręki figurkę Spidermena i zaatakował nią jakąś okropną kreaturę ze Star Wars.

– Colton, pamiętasz jak opowiadałeś w samochodzie, że widziałeś anioły i byłeś u Jezusa na kolanach? – zapytałem siedzącego na podłodze malucha. Podniósł wzrok i spojrzał na mnie.

– Tak, a co?

– Chciałem tylko zapytać, czy jeszcze coś się wtedy stało? – kontynuowałem, a Colton potakująco skinął głową.

– Wiedziałeś, że Jezus ma kuzyna? Powiedział mi, że to ten kuzyn go ochrzcił – odpowiedział z rozradowanym błyskiem w oku.

– Tak, masz rację – potwierdziłem. – W Biblii napisane jest, że ten kuzyn nazywa się Jan.

Momentalnie skarciłem się w myślach. „Nie zarzucaj go informacjami, pozwól mu mówić!”.

– Nie pamiętam już, jak się nazywał – powiedział beztrąsko – ale jest bardzo miły.

Jan Chrzciciel jest „miły”?!

Jeszcze nie do końca dotarło do mnie, co sugerują słowa mojego syna – że spotkał Jana Chrzciciela – kiedy ten wygrzebał ze sterty zabawek plastikowego konia i zamachał nim w moją stronę.

– A tato, wiedziałeś, że Jezus miał konia?

– Konia?

– Tak, takiego tęczowego. Nawet go głaskałem. Wiesz, tam jest tyle kolorów!

„Jakich kolorów? O czym on w ogóle mówił?”

– Gdzie jest tak dużo kolorów?

– W niebie, tato. Tam są wszystkie kolory tęczy. Wszystkie!

Zaczęło mi się kręcić w głowie. Nagle zdałem sobie sprawę, że do tego momentu w pewien sposób bawiła mnie myśl, że Coltonowi objawił się Jezus z aniołami. Może faktycznie widział je podczas operacji się w szpitalu. Często mówi się o ludziach bliskich śmierci, którzy



mają widzenie. Zaczęło docierać do mnie, co mój syn miał na myśli. Nie tylko opuścił swoje ciało, opuścił również i szpital.

– Czyli byłeś w niebie? – zapytałem po dłuższej chwili.

– No tak, przecież ci mówiłem – odpowiedział, jakby było to zupełnie oczywiste.

Musiałem zrobić sobie przerwę. Wstałem od biurka, wszedłem na górę i natychmiast zadzwoniłem do Sonji na komórkę. Kiedy odebrała, w tle słychać było głośną muzykę i radosne śpiewy.

– Czy wiesz, co przed chwilą opowiedział mi twój syn?

– Co? – zapytała, przekrzykując hałas.

– Powiedział, że widział Jana Chrzciciela.

– *Że co?!*

Szybko streściłem rozmowę z Coltonem. Zdumionym głosem starała się wypytać o szczegóły, ale było za głośno. Ledwo się słyszeliśmy.

– Zadzwoń dzisiaj po kolacji, dobrze? – powiedziała Sonja. – Chcę wszystko wiedzieć! – dodała i rozłączyła się.

Odłożyłem telefon i oparłem się o kuchenny blat. Musiałem spokojnie przemyśleć sprawę. Powoli zacząłem dopuszczać ewentualność, że to wszystko miało miejsce. Czy nasz syn faktycznie umarł i wrócił do świata żywych? Personel medyczny nigdy nic takiego nie zasugerował. Jednak nie mogłem zaprzeczyć, że coś było na rzeczy – Colton udowodnił to, opowiadając o mojej ucieczce do pokoju, o której nie mógł wiedzieć.

Zaświtała mi w głowie myśl, że może właśnie został nam dany prezent, który powinniśmy powoli i ostrożnie rozpakować, żeby dowiedzieć się, co jest w środku.

Wróciłem na dół i zastałem klęczącego Coltona, bombardującego kosmitów. Usiadłem obok niego na podłodze.

– Colton, chciałbym cię jeszcze zapytać o Jezusa.

Skinął głową, ale nie podniósł wzroku. Nadal przeprowadzał niszczycielski atak na istoty pozaziemskie.

– Jak wyglądał Jezus?

Na dźwięk moich słów spojrział na mnie i odłożył zabawki.

– Jezus ma znaczki, tato.

– Słucham?

– Ma znaczki... No, Jezus ma znaczki. I ma brązowe włosy, ma nawet włosy na twarzy – powiedział głaszcząc się ręką po policzku. Domyśliłem się, że jeszcze nie znał słowa

„broda”. – I jego oczy, tato. Ma takie ładne oczy, wiesz? – dodał i rozmarzył się, jakby przywołał jakieś szczęśliwe wspomnienia.

– A jak był ubrany?

Colton rozejrzał się po pokoju, wstał i uśmiechnął się do mnie.

– Miał takie fioletowe coś – powiedział. Położył sobie rękę na lewym ramieniu i powoli przesunął ją po przekątnej do prawego biodra. – Wszystko miał białe, ale odtąd dotąd miał purpurowe.

Kolejne słowo, którego nie znał: szarfa.

– Tylko Jezus miał takie purpurowe coś, wiesz, tato?

W Biblii purpurowy jest kolorem władców. Przypomniałem sobie słowa z ewangelii świętego Marka: „Jego odzienie stało się lśniąco białe tak, jak żaden folusznik na ziemi wybielić nie zdoła”<sup>5</sup>.

– I miał takie złote coś na głowie... – dodał wesoło. Po czym układając dłonie w kółko uniósł je nad głowę.

– Coś jakby koronę?

– No, jak koronę! I miało takie... takie diamentowe coś na środku i też było fioletowe. No i ma te znaczki.

Znowu zakręciło mi się w głowie. Chciałem ostrożnie podpytywać syna o szczegóły, nie spodziewałem się, że tak się rozpędzi. Przed oczami przewijały mi się obrazy z Pisma Świętego. Chrystofania. Objawienie Chrystusa w Księdze Daniela, objawienie Króla królów w Apokalipsie św. Jana. Zdumiało mnie, że mój syn opisywał Jezusa jako człowieka, po czym moje zdumienie zdumiało mnie jeszcze bardziej. Przecież chrześcijaństwo opiera się na wierze w stworzenie człowieka na podobieństwo Boga oraz w Syna Bożego, który jako człowiek zstąpił na ziemię i jako człowiek powrócił do nieba.

Znałem na pamięć wszystkie opowieści biblijne, które czytaliśmy Coltonowi przez ostatnie cztery lata. Głównie sięgaliśmy po książeczki jeszcze z mojego dzieciństwa. Wiedziałem również, jak wyglądają szkółki niedzielne w naszej parafii i w jak dużym stopniu wszystko było upraszczane dla najmłodszych: Jezus cię kocha. Bądź dobry dla innych. Bóg jest miłosierny. Dużym sukcesem było wpojenie dzieciakowi krótkiego trzy- czy czterozdaniowego pojęcia podczas niedzielnych zajęć. Jednak mój syn stał przede mną i wszystko, co opisywał rzeczowym tonem czterolatka, zgadzało się z Biblią, łącznie z kolorami tęczy opisywanymi w Apokalipsie Świętego Jana, co definitywnie wychodzi poza materiał szkółki niedzielnej. Co chwilę przerywał swoją opowieść, pytając:

---

<sup>5</sup> Mk 9,3.

– Wiedziałeś o tym, czy nie?

Za każdym razem myślałem: „Tak, oczywiście, ale skąd ty to wiesz?”.

Siedziałem w ciszy, a Colton bombardował mnie szczegółami. Po raz pierwszy naprawdę długo zastanawiałem się, o co dokładnie powinienem go zapytać. Jeszcze raz przemyślałem to, do czego już doszliśmy: Jan Chrzyciel, ubiór Jezusa, wszystkie kolory tęczy, konie. Tyle zrozumiałem. Tylko o co chodziło mu ze znaczkami? Jakie niby znaczki miałby Jezus mieć?

*„Czym są znaczki dla małego dziecka?”*

Nagle wydało mi się to oczywiste.

– Colton, a mówiłeś, że Jezus miał znaczki. Jakie znaczki masz na myśli?

– No, znaczki – powiedział i spojrzał na mnie z lekką irytacją. – Takie, wiesz, kolorowe. Miał na sobie kolory.

– A jakiego koloru były te znaczki Jezusa? – wypytywałem dalej.

– Czerwone, tato, no a jaki?. Jezus miał przecież czerwone znaczki.

Łzy napłynęły mi do oczu, kiedy zrozumiałem, co Colton przez cały czas starał się wytłumaczyć.

– Colton, a gdzie Jezus miał te swoje znaczki? – ostrożnie zapytałem, zniżając głos.

Wstał bez wahania, żeby zademonstrować miejsca „znaczków”. Wyciągnął w moją stronę prawą dłoń i drugą ręką wskazał jej środek. Później wyciągnął lewą dłoń i wskazał to samo miejsce. Na koniec schylił się i złapał się za obie stopy.

– No, to już wiesz gdzie Jezus ma swoje znaczki – powiedział zadowolony.

Wzięłem głęboki oddech. „Widział to” – pomyślałem. - „Musiał to widzieć”. Wszyscy wiemy, gdzie wbito Jezusowi gwoździe podczas ukrzyżowania. Tak makabryczny temat nie jest jednak wałkowany z przedszkolakami na pierwszych lekcjach religii. Prawdę powiedziawszy, nie byłem nawet pewny, czy mój syn kiedykolwiek w życiu widział krzyż. Dzieci z rodzin katolickich dorastają ze świadomością znaczenia tego symbolu, jednak w protestanckich kręgach najmłodszym wpaja się po prostu bez zbędnych tłumaczeń, że „Jezus zmarł na krzyżu”.

Zaskoczyło mnie również, jak szybko Colton odpowiadał na moje pytania. Był pewien swoich słów jak naoczny świadek, nie zmyślał na poczekaniu ani nie musiał przypominać sobie poprawnych, wyuczonych odpowiedzi ze szkoły niedzielnej czy też z książki.

– Colton, za chwilę wrócę. Muszę się napić wody – skłamałem. Tak naprawdę chciałem tylko przerwać naszą rozmowę. Nie interesowało mnie, czy miał coś jeszcze do

powiedzenia, usłyszałem już wystarczająco dużo. Musiałem przetrwać to, czego do tej pory się dowiedziałem.

– Dobra – powiedział i wrócił do swoich zabawek.

Znów poszedłem na górę, wziąłem do ręki butelkę wody i znowu oparłem się o kuchenny blat. Rozmyślałem, odtwarzając w myślach rozmowę z czteroletnim synem. „Ile mój mały chłopiec może wiedzieć?”

Byłem przekonany, że nie zmyślał. Z pewnością żadne z nas nigdy nie poruszyło z Coltonem tematu ubioru Jezusa, a w szczególności purpurowych szarf, które nosi w niebie. Czy możliwe jest, że takie szczegóły pojawiały się w historyjkach biblijnych, które czytaliśmy swoim dzieciom? Większość wiedzy Coltona o wierze pochodziła właśnie z tych dziecięcych książeczek, a nie z niedzielnych spotkań w kościele. Jednak czytaliśmy im tylko króciutkie, uproszczone opowiadania na kilkaset słów. Nie było w nich wiele szczegółów, nie przypominam sobie nic na temat Jezusa chodzącego w bieli, a tym bardziej opisów Królestwa Niebieskiego.

Wziąłem kolejny łyk wody i zacząłem łamać sobie głowę, skąd wzięły mu się te „znaczkę”. Na pewno nie nauczył się tego od nas, a mimo moich natrętnych pytań był bardzo pewny swego. Jeszcze jedno zastanawiało mnie w kwestii „znaczków”. Zapytany o wygląd Jezusa, Colton uznał je za najważniejszą cechę i wymienił je w pierwszej kolejności. Nic ich nie przebiło: pozostałe szczegóły jak purpurowa szarfa, korona, a nawet oczy Jezusa, którymi Colton był oczarowany, wspomniął dopiero po „znaczkach”. Po prostu wypalił bez zastanowienia:

– Jezus ma znaczkę.

Przypomniała mi się pewna duchowa „zagadka”, którą mi kiedyś opowiedziano.

– Co jest dokładnie takie samo na ziemi, jak i w niebie?

Odpowiedź: rany na dłoniach i stopach Jezusa.

Może jest w tym szczypta prawdy?

## Rozdział trzynasty

### ***Światła i skrzydła***

W niedzielę wieczorem Sonja wróciła z Colorado Springs. Usiedliśmy razem na kanapie w salonie i dokładnie zrelacjonowałem jej przebieg rozmowy z Coltonem.

– Czyżbyśmy wcześniej coś przeoczyli? – zastanawiałem się na głos.

– Nie wiem – odpowiedziała. – Colton co chwilę wyskakuje z jakimiś nowymi szczegółami.

– Chciałbym dowiedzieć się więcej, ale nie bardzo wiem, jak go o to podpytać.

Oboje byliśmy nauczycielami – Sonja przekazywała wiedzę w szkole, a ja dbałem o duchowy rozwój wiernych z parafii. Zgodziliśmy się, że najlepiej będzie zadawać luźne pytania, stopniowo, w miarę jak Colton będzie się coraz bardziej otwierał. Podczas pierwszej rozmowy nierozważnie podpowiedziałem mu, że „złote coś na głowie” to korona – teraz postanowiliśmy nie pomagać mu w uzupełnianiu luk. Trzymaliśmy się tej ustalonej taktyki tak długo, że Colton do dziesiątego roku życia nie poznał słowa „szarfa.”

Kilka dni po rozmowie o „znaczkach” siedziałem w kuchni przygotowując kolejne kazanie, a Colton bawił się na podłodze. Spojrzałem znad książek na uzbrojonego w plastikowe miecze syna, który związywał rogi zarzuconego na plecy ręcznika. W końcu każdy porządny superbohater musi mieć pelerynę.

Znów chciałem porozmawiać z nim o niebie i układałem w głowie wszystkie możliwe pytania. Nigdy wcześniej nie rozmawiałem z Coltonem o takich rzeczach i muszę przyznać, że byłem nieco zdenerwowany. Nie wiedziałem nawet, jak zacząć. W gruncie rzeczy z *nikim* nigdy nie prowadziłem takiej rozmowy.

Udało mi się odciągnąć jego uwagę od zabawek, zanim zdążył porządnie zacząć bitwę. Wstał z podłogi i wdrapał się na krzesło po drugiej stronie stołu.

– Co?

– Pamiętasz, jak opowiadałeś mi o Jezusie? I o jego koniu?

Skinął głową i spojrzał na mnie poważnie.

– Byłeś w niebie?

Znowu skinął potakująco.

Powoli zaczynałem brać pod uwagę to, że Colton faktycznie mógł tam być.. Czuję się, jakbym rozpakowywał prezent – póki co zerwałem pierwszą warstwę papieru i poznałem kształt tego, co było w środku. Teraz chciałem dowiedzieć się czegoś więcej, dokładniej poznać zawartość pakunku.

– A więc co robiłeś w niebie? – odważyłem się zapytać.

– Pracę domową.

„Pracę domową?!” Nie takiej odpowiedzi się spodziewałem. Próba chóru by mnie aż tak nie zdziwiła, ale praca domowa?!

– To znaczy?

– Jezus mnie uczył.

– Jak w szkole?

Colton przytaknął.

– Jezus powiedział mi, co mam robić i to było najfajniejsze tam w niebie. W ogóle, tato, tam było tak dużo dzieci!

Później zrozumieliśmy, że od tamtej rozmowy powinniśmy byli notować pewne rzeczy. Jeszcze przez rok Colton był w stanie wymienić z imienia wiele dzieci, które były razem z nim w niebie. Niestety już ich nie pamięta, a my nigdzie ich nie zapisaliśmy.

Był to również pierwszy raz, kiedy Colton wspomniał o obecności innych ludzi w niebie. Oczywiście mówił wcześniej o Janie Chrzcicielu oraz o kilku innych osobach, ale muszę przyznać, że uważałem je bardziej za biblijne postacie niż za zwykłych śmiertelników. To dość zabawne, prawda? Przecież chrześcijaństwo opiera się na wierze w życie wieczne po śmierci. Dlaczego zatem nie spodziewałem się, że Colton spotkał również zwykłych ludzi?

– Więc jak wyglądały te dzieci? Jak wyglądali ludzie w niebie? – zapytałem zaintrygowany.

– Wszyscy mają skrzydełka.

„Skrzydełka, tak?”

– A ty miałeś skrzydełka? – ciągnąłem temat.

– Tak, ale nie były duże – powiedział. Wydawało się, jakby trochę spochmurniał.

– Aha... a chodziliście wszędzie czy jeździliście?

– Wszyscy latali. No, tylko Jezus nie latał. Tylko on nie miał skrzydełek tak jak wszyscy. Jeździł w górę i w dół, jak w niewidzialnej windzie.

Pomyślałem o opisie Wniebowstąpienia w Dziejach Apostolskich. Jezus mówi swoim apostołom, że będą jego świadkami głoszącymi Słowo Boże na całym świecie, po czym właśnie wstępuje do Nieba: „Po tych słowach uniósł się w ich obecności w górę i obłok zabrał Go im sprzed oczu. Kiedy uporczywie wpatrywali się w Niego, jak wstępował do nieba, przystąpili do nich dwaj mężowie w białych szatach. I rzekli: «Mężowie z Galilei, dlaczego stoicie i wpatrujecie się w niebo? Ten Jezus, wzięty od was do nieba, przyjdzie tak samo, jak widzieliście Go wstępującego do nieba»<sup>6</sup>”.

Wstąpił do nieba i ponownie zstąpił. Bez skrzydeł. Dla małego dziecka mogło wyglądać to jak niewidzialna winda.

– W niebie wszyscy wyglądają trochę jak anioły, wiesz, tato? – powiedział Colton, przerywając moje rozmyślenia.

---

<sup>6</sup> Dz, 1,9-11.

- Dlaczego jak anioły?
- Bo każdy ma światło nad głową.

Szybko starałem się przywołać w pamięci wszystko, co wiedziałem o aniołach i o świetle. W Biblii pojawiające się anioły często opisywane są jako olśniewająco jasne, wręcz oślepiające. Kiedy trzeciego dnia po pogrzebie Maria Magdalena przysłała z inną kobietą pod grób Jezusa, spotkały anioła siedzącego na kamieniu nagrobnym, który w niewiadomy sposób został odsunięty od wjazdu. Według ewangelii „postać jego jaśniała jak błyskawica, a szaty były białe jak śnieg<sup>7</sup>”.

W Dziejach Apostolskich opisany jest również żydowski proces świętego Szymona, którego oskarżano o wygłaszanie herezji. Podczas rozprawy wszyscy „przyglądali się mu uważnie i zobaczyli twarz jego podobną do oblicza anioła<sup>8</sup>”. Jakiś czas później Szymon został ukamieniowany.

Święty Jan Ewangelista pisał w Apokalipsie, że widział „innego potężnego anioła, zstępującego z nieba, obleczonego w obłok, i tęcza była nad jego głową, a oblicze jego było jak słońce, a nogi jego jak słupy ogniste<sup>9</sup>”.

Nie przypominałem sobie, żeby anioły miały „światło nad głową”. Wiedziałem również, że nie było mowy o aureolach z poznanych przez Coltona opisach aniołów w książeczkach dla dzieci. Przecież Colton nawet nie znał słowa „aureola”. Podejrzywałem, że nigdzie wcześniej ich nie widział, ponieważ zarówno nasze wieczorne czytanki religijne, jak i nauki w szkółce niedzielnej opierały się tylko na Biblii.

Słowa Coltona zaintrygowały mnie szczególnie w związku z historią, którą usłyszałem kilka lat temu od przyjaciółki, żony pastora z Colorado. Opowiedziała mi o swojej córce Hannie, która w wieku trzech lat zapytała po niedzielnej mszy:

- Mamo, mamo, a dlaczego niektórzy w kościele mają takie światło nad głową, a niektórzy nie?

Pomyślałem wtedy, że natychmiast zapytałbym się Hanny:

- A czy ja miałem światło nad głową? Proszę, powiedz, że tak...

Zastanawiałem się również, co Hanna widziała tego dnia w kościele i czy był to efekt jej prostej, dziecięcej wiary, jaką miał również mój syn.

Kiedy apostołowie zapytali Jezusa, kto jest największy w królestwie niebieskim, ten wywołał z tłumu małego chłopca i postawił go wszystkim zebranym za przykład: „Zaprawdę, powiadam wam: Jeśli się nie odmienicie i nie staniecie jak dzieci, nie wejdziecie do królestwa

---

<sup>7</sup> Mt 28,3.

<sup>8</sup> Dz 6,15.

<sup>9</sup> Ap, 10,1.

niebieskiego. Kto się więc uniży jak to dziecko, ten jest największy w królestwie niebieskim<sup>10</sup>”.

„Kto się uniży jak to dziecko...”

Czym jest dzieciństwo? Nie brakiem inteligencji, lecz raczej nadmiarem niewinności. Cennym i ulotnym czasem, zanim pojawi się duma zmuszająca do przejmowania się tym, co myślą o nas inni. Nienaruszoną i szczerą beztroską, dzięki której trzylatek z radością wskoczy do kałuży, będzie turlał się w trawie z małym szczeniakiem lub głośno komuś wytknie, że lecą mu z nosa gile. Tego właśnie potrzeba, by znaleźć się w niebie. Duchowa szczerść – przeciwieństwo ignorancji – oznacza chęć do zaakceptowania rzeczywistości taką, jaka jest i nazywania rzeczy po imieniu nawet wtedy, gdy wydaje się to niemożliwe.

Wszystko to przemknęło mi przez głowę w ułamku sekundy.

– Światło, tak? – zapytałem, siląc się na beztroski ton.

– Tak, i są żółci odtąd–dotąd – powiedział wykonując taki sam ruch, jaki zrobił demonstrując fioletową szarfę Jezusa. – I biali odtąd–dotąd – dodał łapiąc się za ramiona, po czym schylił się i złapał się za stopy.

Pomyślałem o „mężczyźnie”, który ukazał się prorokowi Danielowi: „Dnia dwudziestego czwartego pierwszego miesiąca, gdy znajdowałem się nad brzegiem Wielkiej Rzeki, «to jest nad Tygrysem», podniosłem oczy i patrzałem: Oto [stał] pewien człowiek ubrany w lniane szaty, a jego biodra były przepasane czystym złotem, a ciało zaś jego było podobne do tarsziszu, jego oblicze do blasku błyskawicy, oczy jego były jak pochodnie ogniste, jego ramiona i nogi jak błysk polerowanej miedzi, a jego głos jak głos tłumu<sup>11</sup>”.

Colton znowu wykonał ruch, jakby pokazywał niewidzialną szarfę i powiedział, że ludzie w niebie nosili inne kolory niż anioły.

Po tak długiej rozmowie mój nowy „informacjometr” wskazywał tego dnia niemalże maksimum, ale było jeszcze coś, o co chciałem się zapytać. Jeśli Colton faktycznie znalazł się w niebie i widział wszystko, o czym opowiadał – Jezusa, konie, anioły i inne dzieci – i był tam na górze (czy to rzeczywiście jest na górze?) wystarczająco długo, by odrobić pracę domową..., to na jak długo opuścił, jak twierdził, swoje ciało?

Spojrzałem na malucha klęczącego na kuchennym krześle z ręcznikiem zarzuconym na plecy.

– Colton, mówiłeś, że byłeś w niebie, że tyle widziałeś, że robiłeś *tylko* rzeczy... Jak długo cię nie było?

---

<sup>10</sup> Mt 18 3-4.

<sup>11</sup> Dn 10,4-6.



Spojrzał mi prosto w oczy i bez wahania wypalił:

– Trzy minuty.

Zeskoczył z krzesła i wrócił do porzuconych w kącie zabawek, by kontynuować przerwana bitwę.

## Rozdział czternasty

### ***W czasie niebieskim***

„Trzy minuty?”

Zastanawiałem się nad jego błyskawiczną odpowiedzią i jednocześnie przyglądałem się przygotowaniom do walki na plastikowe miecze.

Już nie raz uwierzytelnił swoje doświadczenia opowiadając o rzeczach, których nie miał prawa wiedzieć. Jednak teraz doszły do tego „trzy minuty”, które nijak nie pasowały do całości. Wpatrywałem się w leżącą na kuchennym stole Biblię i rozważałem wszystkie możliwości.

Trzy minuty. To było niemożliwe – nie zdążyłby zrobić wszystkiego, o czym nam opowiadał, w zaledwie trzy minuty. Oczywiście był jeszcze za mały, by mieć jakiegokolwiek poczucie czasu. Może więc trzy minuty oznaczały dla niego coś innego niż dla osoby dorosłej. Jak większość rodziców nie dawaliśmy mu dobrego przykładu obiecując, że za pięć minut skończymy rozmawiać przez telefon, przerwiemy rozmowę z sąsiadem na podwórku czy wrócimy do domu. Z nieszczęsnych pięciu minut zawsze jakimś cudem robiło się *dwadzieścia*.

Możliwe również, że czas w niebie płynie niezależnie od czasu na ziemi. Według Pisma Świętego „jeden dzień u Pana jest jak tysiąc lat, a tysiąc lat jak jeden dzień<sup>12</sup>”. Niektórzy interpretują to dosłownie, nie jako przenośnię, czyli że dwa dni równe są dwóm tysiącom lat. Zawsze uważałem, że królestwo niebieskie istnieje poza wszelkimi granicami czasu. Ziemski czas zależny jest od naturalnego zegara regulowanego przez układ słoneczny. Jednak w Biblii napisane jest, że w niebie słońca nie ma, a wszelkie światło pochodzi od Boga. Może w niebie czas po prostu nie istnieje, a przynajmniej nie istnieje w pojmowalnej dla nas formie.

Jednak z drugiej strony Colton z zaskakującą pewnością siebie odpowiedział na moje pytanie, jakby mówił, że zjadł na śniadanie płatki z mlekiem. Te „trzy minuty” miały sens z

---

<sup>12</sup> 2 P 3,8.

perspektywy czasu na ziemi – nie mógłby opuścić swojego ciała i powrócić do niego dopiero po dłuższej chwili. Zwłaszcza, że nigdy nie poinformowano nas o śmierci klinicznej. Pooperacyjny raport, mimo bardzo złych prognoz, wskazywał na bezproblemowy przebieg operacji:

RAPORT OPERACYJNY

DATA OPERACJI: 03.05.2003

DIAGNOZA PRZEDOPERACYJNA: Zapalenie wyrostka robaczkowego

DIAGNOZA POOPERACYJNA: Pęknięty wyrostek robaczkowy i ropień

OPERACJA: Usunięcie wyrostka robaczkowego i odsączenie ropnia

CHIRURG: Dr Timothy O'Holleran

OPIS OPERACJI: Pacjent został położony na wznak na stole operacyjnym. Pod ogólnym znieczuleniem podbrzusze zostało sterylnie przygotowane. Po prawej stronie podbrzusza wykonano poprzeczne cięcie przez wszystkie warstwy tkanki otrzewnej. Pacjent miał pęknięty wyrostek robaczkowy z ropniem. Wyrostek został usunięty podczas operacji.

Nagle uderzyło mnie coś bardzo oczywistego: Colton przecież nie umarł. Jakim cudem znalazł się w niebie, skoro nigdy nie umarł? Kilka dni łamałem sobie nad tym głowę. Minął mniej więcej tydzień, odkąd Colton po raz pierwszy opowiedział nam o aniołach, więc nie chciałem wywierać na niego presji, ciągle wypytyjąc o niebo. Jednak w pewnym momencie nie wytrzymałem i zacząłem szukać go po całym domu. Znalazłem go bawiącego się na dywanie w pokoju, który przekształciliśmy w pokój zabaw, budując w nim wieżę z klocków LEGO. Stałem w drzwiach i oparłem się o framugę.

– Wiesz, Colton, chyba nie do końca wszystko rozumiem – zacząłem.

Spojrzał na mnie z podłogi i po raz pierwszy od powrotu ze szpitala zauważyłem, że jego twarz zaczęła się zaokrąglać, a policzki odzyskały żywy różowy kolor.

– Tak?

– Powiedziałeś, że byłeś w niebie. Ludzie muszą umrzeć, żeby pójść do nieba.

– No, dobra, umarłem. Ale tylko na chwilę – odpowiedział, nie spuszczać ze mnie wzroku.

Poczułem, jak serce zaczęło łomotać mi w klatce piersiowej. Usłyszeć od przedszkolaka, a szczególnie od swojego syna, że na chwilę umarł? Ale Colton nie umarł, widziałem przecież szpitalne sprawozdanie z operacji. Ani na moment nie przestał oddychać, praca serca nigdy się nie zatrzymała.

Stałem w drzwiach i rozmyślałem nad słowami Coltona, który właśnie wrócił do zabawek. Przypomniałem sobie, że w Piśmie Świętym faktycznie jest wzmianka o ludziach, którzy nie umierając znaleźli się w niebie. Święty Paweł napisał do kościoła w Koryncie o chrześcijaninie, którego znał osobiście i który został zabrany do Nieba. „Znam człowieka w Chrystusie, który przed czternastu laty – czy w ciele – nie wiem, czy poza ciałem – też nie wiem, Bóg to wie – został porwany aż do trzeciego nieba. I wiem, że ten człowiek – czy w ciele, nie wiem, czy poza ciałem, Bóg to wie – został porwany do raju i słyszał tajemne słowa, których się nie godzi człowiekowi powtarzać<sup>13</sup>”.

Oczywiście był też święty Jan, który szczegółowo opisał niebo w swojej Apokalipsie. Został wygnany na wyspę Patmos, gdzie nawiedził go anioł i rozkazał mu spisanie kilku przepowiedni dla Kościoła. Jan napisał:

„Potem ujrzałem: Oto drzwi otwarte w niebie, a głos, ów pierwszy, jaki usłyszałem, jak gdyby trąby mówiącej ze mną, powiedział: «Wstąp tutaj, a to ci ukazę, co potem musi się stać». Doznałem natychmiast zachwycenia: A oto w niebie stał tron i na tronie [ktoś] zasiadał. A Zasiadający był podobny z wyglądu do jaspisu i do krwawnika, a tęcza dokoła tronu – podobna z wyglądu do szmaragdu. Dokoła tronu – dwadzieścia cztery trony, a na tronach dwudziestu czterech siedzących Starców, odzianych w białe szaty, a na ich głowach złote wieńce<sup>14</sup>”.

Tęcze... gdzie ja ostatnio zetknąłem się z tęczami?

Kiedy tak stałem oparty o framugę i myślałem o możliwości przedśmiertnej wizyty w niebie, zdałem sobie sprawę, że Colton mówiąc mi, że umarł „tylko na chwilę” starał się dopasować stwierdzenie swojego ojca-pastora do tego, czego doświadczył na własnej skórze. Trochę jak spostrzeżenie, że na zewnątrz jest mokro i wywnioskowanie, że po prostu musiało padać.

Po prostu w pewien sposób narzuciłem ten warunek śmierci, a ufający mi Colton dostosował się do tego: „W takim razie musiałem umrzeć, skoro byłem w niebie.”

Nagle Colton znowu się odezwał.

– Tato, a pamiętasz, jak zacząłem na ciebie krzyczeć, gdy się obudziłem w szpitalu?

Jak mógłbym zapomnieć? To był najpiękniejszy dźwięk, jaki w życiu słyszałem.

– Oczywiście, że pamiętam – odpowiedziałem.

– Wiesz, krzyczałem, bo Jezus przyszedł, żeby mnie zabrać. Powiedział, że muszę wracać, bo tak bardzo się o mnie modliłeś. Dlatego tak bardzo krzyczałem.

---

<sup>13</sup> 2 Kor 12,2-4.

<sup>14</sup> Ap 4,1-3.

Na dźwięk tych słów ugięły się pod mną kolana. Przypomniałem sobie moje łyżki wściekłości i ostre słowa w małym pokoiku oraz późniejsze ciche modlitwy w poczekalni. Przypomniałem sobie przerażenie, że Colton może nie przeżyć operacji, że mogę więcej nie zobaczyć go żywego. Były to najdłuższe i najbardziej stresujące minuty mojego życia.

I Jezus odpowiedział na moje modlitwy? Osobiście? Po tym, jak go wyklinałem, niemalże ganiłem, kwestionując jego mądrość i miłosierdzie?

Dlaczego odpowiedział na takie modlitwy? W jaki sposób zasłużyłem sobie na jego łaskę?

## Rozdział piętnasty

### **Spowiedź**

Upały pierwszych tygodni lipca rozpieszczały pola kukurydzy temperaturami godnymi gigantycznych szklarni. Bezchmurne niebo gościło nad Imperial niemalże każdego dnia. Powietrze wibrowało od brzęczenia komarów w ciągu dnia, a w nocy od świergotu świerszczy. Mniej więcej w połowie lipca znowu pojechałem na posiedzenie okręgowej rady kościoła w Greely w Colorado. Zgromadzenie stu pięćdziesięciu pastorów, ich żon i delegatów z Nebraski i z Colorado odbywało się w kościele Steve'a Wilsona – tym samym, do którego pojechałem w marcu, kiedy Sonja została w domu Harriesów i zajmowała się chorym na „grypę żołądkową” Coltonem.

W kościele rzymskokatolickim spowiedź – wyznanie księdzu swoich grzechów i niedociągnięć – traktuje się jako święty sakrament. Protestanci również się spowiadają, jednak jest to zdecydowanie mniej sformalizowane, zwykle zwieramy się Bogu bez pośrednika. Kiedy dowiedziałem się od Coltona, że moje rozwścieczone modlitwy wzniosły się bezpośrednio do nieba i otrzymały równie bezpośrednią odpowiedź, poczułem, że muszę się wyspowiadać. Byłem niezadowolony z mojego niekontrolowanego wybuchu złości. Kiedy byłem tak zmartwiony i zdenerwowany, kiedy gotowałem się z wściekłości, że Bóg chce odebrać mi syna, on go chronił. Obdarzył go miłością. Jako pastor czułem się odpowiedzialny wobec pozostałych członków zgromadzenia za mój karygodny kryzys wiary. Podczas konferencji w Greely poprosiłem Phila Harrisa, naszego naczelnika w okręgu, czy mógłbym zabrać głos na kilku minut.

Zgodził się i pierwszego dnia konferencji stanąłem przed wszystkimi kolegami w kościele, w którego ławach w niedzielne poranki zasiada ponad tysiąc wiernych. Najpierw pokrótce zrelacjonowałem stan zdrowia Coltona i podziękowałem wszystkim za ich modlitwy za naszą rodzinę, po czym zacząłem się spowiadać:

– Większość z was wie, że tuż przed chorobą Coltona zламаłem sobie nogę, nabawiłem się kamicy nerkowej i przeszedłem operację usunięcia sutka. Miałem tak nieszczęśliwy rok, że niektórzy z was zaczęli nazywać mnie pastorem Hiobem.

Cichy śmiech obił się echem w murach kościoła.

– Jednak nic nie bolało tak, jak obserwowanie cierpień Coltona. Byłem wściekły na Boga – kontynuowałem. – Jestem mężczyzną, a mężczyźni *muszą* działać. Czulem, że jedyne, co mogłem zrobić, to wrzeszczeć na Niego.

Pokrótce opisałem uczucia, które targały mną w małym pokoiku w szpitalu. Przyznałem, że bluźniłem na Boga, obwiniając go za krytyczny stan Coltona, narzekałem na jego stosunek do jednego ze swoich pastorów. Jakbym oczekiwał, że powinienem być wolny od trosk, ponieważ mu służyłem, wykonywałem „jego” pracę.

– Moi drodzy, czy uwierzycie, że mimo mojej niepohamowanej wściekłości Bóg odpowiedział na te modlitwy? – powiedziałem. – Czy uwierzycie, że wysłuchał mnie cierpliwie i spełnił moje prośby?

Czego mnie to nauczyło? Powiedziałem moim kolegom, że po raz kolejny przekonałem się o tym, jak ważna jest szczerłość wobec Boga. Nie musiałem silić się na jakąś świętą modlitwę, rodem z katechizmu, by została ona wysłuchana.

– Bogu można po prostu wyznać swoje myśli – podsumowałem. – On i tak je przecież już zna.

Nauczyłem się, że zawsze zostanę wysłuchany, że wszyscy zawsze zostaniemy wysłuchani. Byłem chrześcijaninem od urodzenia i pastorem przez połowę mojego życia, więc głęboko w to wierzyłem. Teraz jednak wreszcie byłem tego pewien. Dlaczego? Wiedziałem, że kiedy pielęgniarki zabierały mojego syna krzyczącego: „Tato, tato, nie pozwól im mnie zabrać!”, kiedy byłem wściekły na Boga, ponieważ nie mogłem być blisko swojego syna, przytulać go i wspierać, Syn Boży wziął go na kolana i się o niego zatroszczył.

## Pop

Pewnego upalnego dnia w sierpniu czteroletni Colton wskoczył na miejsce dla pasażera do mojego czerwonego pickupa i razem pojechaliśmy do Benkleman. Musiałem tam udać się w sprawach biznesowych i postanowiłem zabrać syna ze sobą. Nie był szczególnie zainteresowany montażem przemysłowych bram garażowych, ale uwielbiał jeździć w moim małym chevrolecie, ponieważ w przeciwieństwie do forda, gdzie miał ograniczone pole widzenia, tutaj jego fotelik samochodowy był na tyle wysoko, że mógł obserwować uważnie drogę.

Benkleman to małe rolnicze miasteczko sześćdziesiąt kilometrów na południe od Imperial. Założone w 1887 roku, teraz powoli pustoszeje, jak wiele innych wiejskich społeczności w Nebrasce. Ponieważ technologia zabiera tutejszym ludziom pracę, przenoszą się w jej poszukiwaniu do większych miast. Przejechałem obok znajomej fabryki nawozów, która wznosi się na wschodnim krańcu Imperial, a potem skręciłem na południe w kierunku Enders Lake. Po lewej minęliśmy miejskie pole golfowe porośnięte gęsto drzewami cedrowymi, a kiedy dotarliśmy do betonowej tamy, po prawej zamigotała tafla jeziora. Colton przyglądał się motorówce ciągnącej narciarza wodnego, rozbryzgującego wodę na wszystkie strony. W dolinie przekroczyliśmy tamę i wjechaliśmy na dwupasmową autostradę, która prowadzi prosto na południe. Po obu stronach ukazały się nam bezkresne pola dwumetrowej, pnącej się do nieba kukurydzy, które przecinała nitka asfaltu.

– Tato, miałeś dziadka, który nazywał się Pop, prawda? – Colton niespodziewanie zaczął rozmowę.

– Taa, miałem – odparłem.

– Czy on był tatusiem twojej mamusi czy tatusia?

– Pop był tatą mojej mamy. Odszedł, kiedy byłem niewiele starszy od ciebie.

– Jest bardzo miły – uśmiechnął się.

Prawie zjechałem z drogi prosto w kukurydzę. To dziwne uczucie, kiedy twój syn używa czasu teraźniejszego mówiąc o osobie, która zmarła ćwierć wieku przed jego narodzeniem. Starłem się zachować spokój.

– Więc widziałeś Popa? – zapytałem.

– Tak, poznałem go w niebie. Czy lubiliście się?

– Tak, bardzo – tylko na taką odpowiedź mogłem się zdobyć. W głowie mi zawirowało. Colton właśnie rozpoczął cały nowy temat: ludzie, których straciłeś, i spotkanie ich w niebie. Pomimo wszystkich rozmów o Jezusie, aniołach i koniach, dotychczas nie

przyszło mi do głowy, żeby zapytać go o osoby, które *ja* mógłbym znać. Ale właściwie dlaczego miałbym to robić? Od narodzin Coltona nie odszedł nikt z naszej rodziny lub przyjaciół, więc kto mógł tam być, kogo mógłby spotkać?

A teraz to. Chyba przejechałem kolejne piętnaście kilometrów, a przeróżne myśli przechodziły mi przez głowę. Wkrótce pola kukurydzy zastąpiły równe kwadraty porośnięte złotawą szczecina, pozostałością po żniwach.

Nie chciałem popełnić błędu, sugerując Coltonowi pewne sprawy, że na przykład ludzie muszą umrzeć, zanim zostaną przyjęci do nieba. Nie chciałem, żeby powtarzał rzeczy ode mnie usłyszane, tylko po to, żeby mnie zadowolić. Chciałem znać prawdę.

Po lewej, czterysta metrów od drogi, wyrastała jakby z kukurydzy biała wieża kościelna. To był kościół luterański pod wezwaniem św. Piotra, zbudowany w 1918 roku. Zastanawiałem się, co by powiedzieli ludzie z tej starej budowli, gdyby usłyszeli rzeczy, które opowiadał nasz mały chłopiec.

W końcu, gdy skręciliśmy do Dundy County, byłem gotowy do zadania kolejnych pytań.

– Hej, Colton – zacząłem.

– Co? – odwrócił się od okna, przez które obserwował bażanta biegającego w kukurydzy.

– A jak wyglądał Pop? – zagailem.

– O, tato, Pop ma naprawdę duże skrzydła – uśmiechnął się szeroko.

Znów mówił w czasie teraźniejszym. To było bardzo dziwne.

– Moje skrzydła były bardzo malutkie, a jego naprawdę duże – kontynuował.

– A jak był ubrany?

– Na wierzchu miał biały kolor, a pod spodem niebieski. – odparł, robiąc znowu ruch, który wskazywałby, że chodzi mu o szarfę.

Skręciłem ostro samochodem, żeby ominąć drabinę, którą ktoś zostawił na środku drogi, po czym wróciłem na środek pasa.

– I miałeś okazję poznać Popa?

Colton przytaknął, a oczy mu pojaśniały.

– Kiedy byłem małym chłopcem, fajnie się bawiliśmy razem z Popem – zacząłem wspominać.

Nie powiedziałem Coltonowi, dlaczego spędzałem tak dużo czasu z Popem i babcią Ellen na ich farmie w Ulysses w Kansas. Prawda jest taka, że mój ojciec, chemik z wykształcenia, cierpiał na dwubiegunową psychozę afektywną. Czasami, gdy jego stan się

pogarszał, moja mama, Kay, nauczycielka w szkole podstawowej, musiała zostawić tatę w szpitalu. Wtedy wysyłała mnie do Popa, żeby mnie przed tym chronić. Nie wiedziałem, że mnie wtedy „wysyłano z dala od problemów”. Wtedy niewiele mnie interesowało, przede wszystkim uwielbiałem włóczyć się po farmie, gonić kurczaki i polować na króliki.

– Spędzałem wiele czasu u Popa na wsi – opowiadałem Coltonowi. – Jeździłem z nim razem kombajnem i na traktorze. Miał psa, z którym polowaliśmy na króliki.

– Tak, wiem. Pop mi opowiadał – przytaknął.

Nie wiedziałem, jak na to zareagować.

– Pies nazywał się Charcie Brown. Jedno oko miał niebieskie, a drugie brązowe – powiedziałem tylko.

– Ale super! – zachwycił się Colton. – Czy możemy też kupić takiego psa?

– Zobaczymy! – zaśmiałem się.

Mój dziadek, Lawrence Barber, był farmerem i typem osoby, która zna wszystkich i z którą wszyscy się przyjaźnią. Zaczynał dzień przed świtem, ruszając ze swojego domu w Ulysses w stanie Kansas, do lokalnego sklepiku, żeby poplotkować. Był dużym facetem, więc we wszystkich grach zespołowych zawsze grał na obronie. Jego żona, moja babcia Ellen (ta sama, która przesłała nam pieniądze, żeby pomóc nam zapłacić za leczenie Coltona w szpitalu) zwykła mówić, że potrzeba czterech albo pięciu zawodników, żeby powalić na ziemię Lawrence’a Barbera.

Pop chodził sporadycznie do kościoła. Nie lubił upubliczniać duchowych spraw, jak zresztą wielu mężczyzn. Miałem sześć lat, gdy zginął w nocy w wypadku samochodowym. Jego samochód uderzył w słup elektryczny, który przepołowił auto na pół. Górna część słupa zwała się na dach auta, zgniatając go, ale siłą rozpędu maszyna wjechała jeszcze półtora kilometra w głąb pola kukurydzy. Wypadek spowodował odcięcie prądu w pobliskiej mieszalni pasz, dzięki czemu jeden z pracowników wyruszył na poszukiwanie przyczyny przerwy w dostawie energii. Podobno Pop jeszcze żył tuż po wypadku, ponieważ ratownicy znaleźli go rozciągniętego na siedzeniu pasażera i sięgającego po klamkę, żeby wydostać się z auta. Jednak gdy karetka dotarła do szpitala, już nie żył. Miał wtedy tylko sześćdziesiąt jeden lat.

Pamiętam moją matkę zrozpaczoną na pogrzebie, ale jej ból trwał wiele dłużej. Czasem widziałem, jak podczas modlitwy łyzy kapały jej po policzkach. Gdy pytałem ją, dlaczego płacze, często odpowiadała, że martwiła się, czy Pop trafił do nieba.



Dopiero wiele lat potem, w 2006 roku, dowiedzieliśmy się od mojej ciotki Connie o specjalnej mszy, w której uczestniczył Pop dwa dni przed śmiercią – mszy, która mogła kryć tajemnicę wiecznego przeznaczenia dziadka.

Miało to miejsce 13 lipca 1975 roku w miejscowości Johnson w stanie Kansas. Mama i ciotka Connie miały wujka Huberta Caldwell, którego bardzo lubiłem. Był miejscowym kaznodzieją i po prostu uwielbiał mówić. (Lubiłem go także dlatego, że był niski. To była dla mnie rzadka okazja popatrzeć na kogoś z góry.)

Wujek Hubert zaprosił Popa, Connie i wielu innych na nabożeństwo odnowy do swojego wiejskiego kościółka. Stojąc za mównicą **Kościół Bożego Apostolskiej Wiary (Church of God of Apostolic Faith)**, Hubert zakończył swoje przesłanie pytaniem, czy ktoś chciałby oddać życie za Chrystusa. Wujek zauważył, że Pop podniósł wtedy rękę. Niestety ta historia nigdy nie dotarła do mojej mamy, która niepotrzebnie martwiła się nieustannie przez dwadzieścia osiem lat, że dziadek zginął nie będąc pojednanym z Bogiem.

Gdy wróciliśmy z Benkelman, zadzwoniłem do mamy, żeby powtórzyć jej słowa Coltona. Był piątek, a już następnego ranka zaparkowała na naszym podjeździe. Przejechała całą drogę z Ulysses, żeby usłyszeć, co jej wnuczek ma do powiedzenia o jej ojcu. Zaskoczyło nas, że tak szybko przyjechała.

– Rany, ale musiała pruć – powiedziała Sonja.

Tego wieczora przy obiedzie przysłuchiwałem się, jak Colton opowiadał babci o tęczowym koniu Jezusa i czasie spędzonym z Popem. Mamę zaskoczyło w relacji dziecka, to że Pop rozpoznał swojego prawnuka, chociaż urodził się dekadę po jego śmierci. Zaczęła się zastanawiać, czy ci, którzy odeszli zanim my pojawiliśmy się na świecie, wiedzą, co się dzieje tutaj na ziemi. A może w niebie poznamy swoim bliskich, nawet tych, których nigdy nie spotkaliśmy za życia, dzięki specjalnym zdolnościom lub wiedzy, których nie posiadamy w życiu doczesnym.

Raptem mama zadała Coltonowi dziwne pytanie:

– Czy Jezus mówił coś o tym, że twój tata został pastorem?

Zawsze w duchu zastanawiałem się, dlaczego mi się przydarzyło coś takiego jak powołanie, i wtedy Colton zaskoczył mnie, bo pokiwał radośnie główką i oznajmił:

– Tak! Jezus powiedział, że poszedł do tatusia i powiedział, że chciałby, żeby on został pastorem, a tatuś się zgodził i Jezus był naprawdę szczęśliwy z tego powodu.

Niemal spadłem z krzesła. To była prawda i dokładnie pamiętam tę noc, kiedy to się stało. Miałem trzynaście lat i byłem na obozie na uniwersytecie Johna Browna w Siloam

Springs w stanie Arkansas. Na jednym z wieczornych spotkań wielbny Orville Butcher opowiadał, jak Jezus wzywa ludzi do posługi na całym świecie.

Pastor Butcher był niski, łysy i do tego bardzo energiczny. Nie przynudzał. Tej nocy oznajmił 150 nastolatkom, że są wśród nas tacy, których Bóg może wykorzystać jako pastorów i misjonarzy.

To wspomnienie wciąż jeszcze jest żywe w mojej pamięci, jakby zdarzyło się wczoraj. Było to niesamowite wydarzenie, porównywalne z narodzinami pierwszego dziecka. Pamiętam, że gromada dzieciaków raptem zbladła, a głos wielbego odbijał się echem po sali. Poczulem ucisk w sercu i niemal usłyszałem szept: „To ty, Todd. Chcę, żebyś to właśnie robił”.

Nie miałem wątpliwości, że właśnie usłyszałem Boga. Postanowiłem być mu posłusznym. Wróciłem myślami dokładnie w momencie, gdy pastor Butcher mówił, że jeśli ktoś z nas usłyszy Boży głos tej nocy, jeśli zdeklaruje się mu służyć, to powinniśmy o tym powiedzieć komuś zaraz po powrocie do domu, by chociaż jeszcze jedna osoba o tym wiedziała. Kiedy tylko wróciłem z obozu, wbiegłem do kuchni i oznajmiłem:

– Mamo, gdy dorosnę, zostanę pastorem.

Od tamtego dnia wiele razy wspominaliśmy z mamą tę rozmowę, ale nigdy nie mówiliśmy o niej Coltonowi.

## Rozdział siedemnasty

### ***Dwie siostry***

Zielone dni lata ustąpiły złotej jesieni, a temat nieba ciągle powracał w naszych rozmowach z Coltonem. Ale jedna kwestia przewijała się nieustannie: kiedy nasz syn widział Jezusa w niebie, to jak on wtedy wyglądał? Byliśmy tym zainteresowani, ponieważ ja jako pastor ciągle spędzam czas w szpitalach, księgarniach katolickich, przeróżnych kościołach, a w tych wszystkich miejscach znajduje się mnóstwo obrazów przedstawiających Chrystusa. Często towarzyszą mi Sonja z dziećmi, więc zaczęliśmy bawić się w pewną grę. Gdy napotykalibyśmy jakiś obraz Jezusa, pytaliśmy Coltona, czy tak wygląda Chrystus.

Chłopiec zawsze wpatrywał się przez chwilę, po czym kręcił swoją małą główką i wyrokował: „Nie, na tym włosy się nie zgadzają” albo „Tutaj ma inne ubranie”.

Powtarzaliśmy tę grę setki razy przez następne trzy lata. Niezależnie od tego, czy był to plakat w salce szkółki niedzielnej, okładka książki lub kopia obrazu któregoś ze starych mistrzów wisząca u kogoś w domu, Colton zawsze reagował tak samo. Był za mały, żeby wyjaśnić, co dokładnie było złe w obrazie, potrafił tylko stwierdzić, że były nie takie i już.

Pewnego wieczora w październiku siedziałem przy kuchennym stole, przygotowując kazanie. Sonja w salonie ślęczała nad księgami rachunkowymi i regulowała płatności. Cassie bawiła się obok niej lalkami Barbie. Usłyszałem kroki Coltona w korytarzu i zobaczyłem, jak obiegł kanapę i stanął naprzeciwko Sonji.

– Mamusiu, mam dwie siostry – oznajmił.

Odłożyłem długopis. Sonja pracowała dalej.

– Mamusiu, mam dwie siostry – powtórzyło dziecko.

Żona podniosła wzrok znad dokumentów i pokręciła lekko głową.

– Nie, masz siostrę Cassie i... masz na myśli swoją siostrę cioteczną Traci?

– Nie – stanowczo zaprzeczył. – Mam *dwie* siostry. Przecież dziecko zmarło w twoim brzuchu, prawda?

W tym momencie w domu rodziny Burpo czas się zatrzymał, a oczy Sonji zrobiły się ogromne. Jeszcze kilka sekund wcześniej Colton usiłował bezskutecznie skupić na sobie uwagę matki. Teraz mu się to w końcu udało.

– Kto ci powiedział, że dziecko zmarło w moim brzuchu? – zapytała poważnym głosem.

– Ona, mamusiu. Powiedziała, że umarła w twoim brzuchu.

Colton obrócił się i chciał odejść. Powiedział, co miał do powiedzenia i był gotów ruszyć dalej. Ale po bombie, którą właśnie spuścił, Sonja dopiero się rozkręcała. Zanim zdążył obejść kanapę, głos Sonji zadudnił w całym domu.

– *Coltonie Toddzie Burpo, wracaj tutaj natychmiast!*

Colton obrócił się i odszukał mój wzrok. Jego twarz wyrażała tylko jedno pytanie: „Co ja takiego zrobiłem?”

Wiedziałem, co moja żona wtedy czuła. Utrata tego dziecka była jednym z najboleśniejszych przeżyć w jej życiu. Wytłumaczyliśmy to Cassie, bo była starsza. Jednak nic nie mówiliśmy Coltonowi, ponieważ wydawało się, że czterolatek tego nie zrozumie. Obserwowałem z kuchni, jak po twarzy Sonji przemknęły wszystkie możliwe emocje.

Colton, trochę zdenerwowany, obszedł znowu kanapę i stanął naprzeciwko swojej mamy, ale tym razem znacznie mniej pewnie.

– Wszystko w porządku, mamusiu – powiedział. – Nic się jej nie stało. Bóg ją adoptował.

Sonja ześliznęła się z kanapy i uklękła przed Coltonem, żeby móc spojrzeć mu w oczy. – Chcesz powiedzieć, że Jezus ją adoptował?

– Nie, mamusiu. Jego tata ją adoptował.

Sonja obróciła się i spojrzała na mnie. W tamtym momencie, jak mi później opowiadała, starała się zachować spokój, ale była przytłoczona tym, co usłyszała od Coltona. „Nasze dziecko... było – jest! dziewczynką” – myślała.

Skupiła wzrok na synku i z wielkim wysiłkiem, żeby brzmieć normalnie, zapytała.

– Więc jak ona wyglądała?

– Była bardzo podobna do Cassie – odpowiedział. – Jest tylko trochę mniejsza i ma ciemne włosy.

Sonja ma ciemne włosy.

Po twarzy Sonji przebiegł grymas bólu i radości jednocześnie. Cassie i Colton mieli blond włosy. Kiedyś żartem narzekała, że choć to ona nosiła dzieci przez dziewięć miesięcy, to wszystkie wyglądają dokładnie jak ja. Teraz okazało się, że było dziecko podobne do niej. Córka. Widziałem już, że oczy jej wilgotnieją.

Colton bez zachęty kontynuował opowieść.

– Ta mała dziewczynka podbiegła do mnie w niebie i nie przestawała mnie przytulać – powiedział tonem, który wyraźnie wskazywał, że nie podobało mu sięcale to przytulanie przez *dziewczynkę*.

– Może po prostu cieszyła się, że ktoś z rodziny też tam był – zasugerowała Sonja. – Dziewczynki lubią się przytulać. Kiedy jesteśmy szczęśliwe, przytulamy się.

Coltona to nie przekonało.

– A jak miała na imię ta mała dziewczynka? – drażyła dalej Sonja.

– Nie ma imienia. Nie nazwaliście jej przecież – chłopiec zdawał się zapomnieć już o okropnym przytulaniu dziewczynki.

„Skąd to wiedział?”

– Masz rację – odparła moja żona. – Nawet nie wiedzieliśmy, że ona to ona.

Na to Colton powiedział coś, co ciągle jeszcze dzwoni mi w uszach:

– Ona nie może się doczekać, kiedy z tatą pójdziecie do nieba.

Widziałem, że Sonja ledwo może się opanować. Pocałowała synka i pozwoliła mu odejść się bawić. Gdy wyszedł z pokoju, po policzkach popłynęły jej łzy.

– Naszej dzidzi nic się nie stało – szeptwała. – Naszej dzidzi nic się nie stało.

Od tamtej chwili rana po jednym z najboleśniejszych zdarzeń w naszym życiu zaczęła się goić. Dla mnie strata dziecka była okropnym ciosem. Sonja wyznała mi, że dla niej to było coś więcej, jak osobista porażka.

– Starasz się robić wszystko jak należy, jeść zdrowe rzeczy, modlisz się o zdrowie dziecka, a pomimo tego, ono umiera w twoim brzuchu – zwierzyła mi się. – Czuję się winna. Rozum mówi mi, że to nie była moja wina, a jednak w duszy męczy mnie poczucie winy.

Ufaliśmy, że nasze nienarodzone dziecko poszło do nieba. Chociaż Biblia milczy na ten temat, po prostu w to wierzyliśmy. Teraz jednak mieliśmy naocznego świadka: córka, której nigdy nie poznaliśmy, niecierpliwie czekała na nas w życiu wiecznym. Od tamtej pory żartujemy, kto z nas pierwszy pójdzie do nieba. Sonja miała kilka powodów, dla których chciała mnie przeżyć. Jednym z nich było to, że jako żona pastora służyła do wielu moich kazań jako ilustracja. Zwykła mówić, że jeśli umarłbym pierwszy, w końcu miałaby okazję opowiedzieć wiernym wszystkie swoje historie o mnie.

Jednak teraz Sonja miała powód, żeby dotrzeć do nieba jako pierwsza. Kiedy była w ciąży z dzieckiem, które straciła, wybraliśmy imię dla chłopca – Colton, ale nigdy nie mogliśmy się zgodzić co do dziewczęcego imienia. Mnie się podobała Kelsey, a jej Caitlin. Żadne z nas nie chciało ustąpić.

Teraz, gdy dowiedzieliśmy się, że nasza mała córeczka nie ma jeszcze imienia, droczyliśmy się:

– Wyprzedzę ciebie w drodze do nieba, żeby nadać jej imię.

## Rozdział osiemnasty

### ***Sala tronowa Boga***

Pewnej nocy tuż przed świętami Bożego Narodzenia w 2003 roku, poszedłem z Coltonem do jego pokoju. Zgodnie z naszą codzienną rutyną, wybrał jedną z biblijnych przypowieści, żeby mu poczytać. Tym razem była to opowieść „Mądry król i dziecko” z Pierwszej Księgi Królewskiej, w której dwie kobiety żyją razem, a każda z nich ma niemowlaka. W nocy jeden z chłopców umiera. Przepelniona żalem matka zmarłego dziecka, stara się ukołysać do snu drugie, jako własne. Prawdziwa matka żyjącego chłopca stara się bezskutecznie przekonać ją, że to nie jej dziecko. Zdesperowana, by odzyskać maleństwo, sugeruje, by król Salomon, powszechnie znany ze swej mądrości, rozstrzygnął spór, mówiąc,

która z nich jest prawdziwą matką. Władca wymyśla sposób, w jaki można sprawdzić, co kryje się w sercu obu kobiet.

– Rozetnijcie to żywe dziecko na dwoje! – rozkazuje. – I dajcie połowę jednej i połowę drugiej<sup>15</sup>.

Rozpaczająca kobieta przystaje na takie rozwiązanie, lecz prawdziwa matka okazuje serce i swoją miłość do syna, krzyżując: „Nie! Oddajcie jej dziecko!” W ten sposób król odkrywa, która kobieta mówiła prawdę. Z tej przypowieści wywodzi się fraza „salomonowy wyrok”.

Doszedłem do końca historii i odbyłem naszą codzienną sprzeczkę z Coltonem, żebym czytał jeszcze raz („i jeszcze raz, i jeszcze raz”). Tym razem ja wygrałem. Kiedy uklękliśmy na podłodze, aby się pomodlić, odłożyłem książkę na dywan. Otworzyła się na ilustracji pokazującej króla Salomona siedzącego na tronie. Zdałem wtedy sobie sprawę, że w Biblii kilka razy jest mowa o Tronie Boga. Na przykład autor Listu do Hebrajczyków mówi do wiernych „przybliżmy się więc z ufnością do tronu łaski”<sup>16</sup>, i dodaje, że Jezus po skończonej pracy na ziemi „zasiadł po prawicy tronu Boga”<sup>17</sup>. A w Apokalipsie św. Jana znajduje się wspaniały rozdział, który opisuje tron:

I Miasto Święte - Jeruzalem Nowe  
ujrzałem zstępujące z nieba od Boga,  
przystrojone jak oblubienica zdobna w klejnoty dla swego męża.  
I usłyszałem donośny głos mówiący od tronu:  
«Oto przybytek Boga z ludźmi:  
i zamieszka wraz z nimi,  
i będą oni Jego ludem,  
a On będzie „BOGIEM Z NIMI”.  
I otrze z ich oczu wszelką łzę,  
a śmierci już odtąd nie będzie.  
Ani żałoby, ni krzyku, ni trudu  
już [odtąd] nie będzie,  
bo pierwsze rzeczy przeminęły».  
I rzekł Zasiadający na tronie:  
«Oto czynię wszystko nowe»...

---

<sup>15</sup> 1 Król 3,25.

<sup>16</sup> Hebr 4,16.

<sup>17</sup> Hebr 12,2.

A świątyni w nim nie dojrzałem:  
bo jego świątynią jest Pan Bóg wszechmogący  
oraz Baranek.

I Miastu nie trzeba słońca ni księżyca,  
by mu świeciły,  
bo chwała Boga je oświetliła,  
a jego lampą - Baranek<sup>18</sup>.

– Colton – zagadnąłem, klęcząc obok niego – a gdy byłeś w niebie, widziałeś tron Boga?

– A co to jest tron, tatusiu? – Colton spojrzał na mnie z ukosa

Podniosłem z podłogi Biblię dla dzieci i pokazałam mu ilustrację przedstawiającą Salomona.

– Tron jest krzesło króla, na którym może siedzieć tylko on.

– O tak, widziałem go kilka razy.

Serce zaczęło mi bić szybciej. Czy naprawdę miałem za chwilę dowiedzieć się, jak wygląda sala tronowa w niebie?

– A jak wyglądał? – zapytałem.

– Był duży... bardzo, bardzo duży, ponieważ Bóg jest tam największy ze wszystkich. I naprawdę nas kocha. Nawet nie uwierzysz, jak bardzo nas kocha.

Gdy wypowiedział te słowa, uderzył mnie pewien kontrast: Colton, malutki chłopiec, mówił o wielkim bycie, a już w następnym zdaniu o miłości. Z pewnością nie przerażał go ogrom Boga, poza tym nie tylko chętnie opowiadał o tym, jak Bóg *wyglądał*, ale też jakie *uczucia* żywił do nas.

– A wiesz, że Jezus siedzi tuż obok Boga? – kontynuował podekscytowany. – Krzesło Jezusa jest tuż obok jego Taty!

To mnie dopiero zdziwiło. Skąd czterolatek mógł o tym wiedzieć. To był kolejny raz, kiedy pomyślałem sobie, że *musiał to po prostu widzieć*.

Byłem pewny, że nigdy nie słyszał o Liście do Hebrajczyków, ale był tylko jeden sposób, żeby to sprawdzić.

– A po której stronie tronu Boga siedział Jezus? – zapytałem.

Colton podniósł się na łóżku i spojrzał na mnie.

– Udajmy, że jesteś na tronie Boga. Jezus siedział tutaj – wskazał moją prawą stronę.

---

<sup>18</sup> Ap 21,2-5a, 22-23.

Przypomniałem sobie List do Hebrajczyków: „Patrzmy na Jezusa, który nam w wierze przewodzi i ją wydoskonala. On to zamiast radości, którą Mu obiecywano, przecierpiał krzyż, nie bacząc na [jego] hańbę, i zasiadł po prawicy tronu Boga”<sup>19</sup>.

Rany! To był rzadki przypadek, gdzie skonfrontowałem pamięć Coltona z Biblią, a on zaliczył test bez mrugnięcia okiem. Jednak miałem jeszcze jedno pytanie, na które nie znałem odpowiedzi, przynajmniej nie było jej w Biblii.

– A kto siedzi po drugiej stronie tronu Boga?

– O to proste pytanie, tato. To miejsce archanioła Gabriela. Jest bardzo miły.

„Gabriel. To ma sens” – pomyślałem. Przypomniała mi się historia o Janie Chrzcicielu, a szczególnie fragment, w którym Gabriel zjawia się z wiadomością o jego narodzinach:

„Lecz anioł rzekł do niego: «Nie bój się Zachariaszu! Twoja prośba została wysłuchana: żona twoja Elżbieta urodzi ci syna, któremu nadasz imię Jan. Będzie to dla ciebie radość i wesele; i wielu z jego narodzenia cieszyć się będzie. Będzie bowiem wielki w oczach Pana...

Na to rzekł Zachariasz do anioła: «Po czym to poznam? Bo ja jestem już stary i moja żona jest w podeszłym wieku».

Odpowiedział mu anioł: «Ja jestem Gabriel, który stoję przed Bogiem. A zostałem posłany, aby mówić z tobą i oznajmić ci tę wieść radosną”<sup>20</sup>.

Gabriel powiedział Zachariaszowi: „który stoję przed Bogiem”, a teraz ponad dwa tysiące lat później, mój mały synek mówi mi to samo.

Wiedziałem już, jak wygląda boska sala tronowa, ale jedna rzecz nie dawała mi spokoju: jeśli Bóg Ojciec zasiadał na tronie z Jezusem po swojej prawej stronie, a Gabrielem po lewej, to gdzie był wtedy Colton?

Maluch wszedł już pod kołdrę, a jego główka spoczęła na poduszce ze Spidermenem.

– A ty gdzie siedziałeś?

– Przynieśli dla mnie małe krzesło – odparł z uśmiechem. – Siedziałem przy Bogu w Trójcy Świętej. Wiedziałeś, że Bóg to Trójca Święta?

– Tak, to chyba wiem – odpowiedziałem, śmiejąc się.

– Siedziałem przy Bogu w Trójcy Świętej, ponieważ modliłem się za ciebie. Potrzebowałeś wtedy Ducha Świętego, więc się za ciebie modliłem.

---

<sup>19</sup> Hebr 12,2.

<sup>20</sup> Łk 1,13-15a, 18-19.



To wyznanie zaparło mi dech w piersiach. Stwierdzenie Coltona, że modlił się za mnie w niebie, nasunęło mi na myśl List do Hebrajczyków, gdzie jest napisane: „I my zatem, mając dokoła siebie takie mnóstwo świadków, (...) winniśmy wytrwale biec w wyznaczonych nam zawodach”<sup>21</sup>.

– A jak wygląda Bóg? – zapytałem. – Bóg w Trójcy Świętej?

– Hmm, to trudne pytanie – Colton zmarszczył brwi. – Jest jakby niebieski.

Gdy próbowałem to sobie wyobrazić, chłopiec zmienił temat.

– To tam spotkałem Popa.

– Spotkałeś Popa siedzącego przy Duchu Świętym?

Colton pokiwał energicznie główką, uśmiechając się do swoich wspomnień.

– Tak. Pop podszedł do mnie i powiedział: „Czy Todd to twój tata?”. Ja odpowiedziałem, że tak, a on na to: „On jest moim wnukiem”.

Gdy odprawiałem pogrzeby, wiele razy żałobnicy powtarzali utarte frazesy: „Jest teraz w lepszym miejscu”, „Wiemy, że teraz patrzy się na nas z góry i uśmiecha się do nas” lub „Zobaczysz go jeszcze”. Oczywiście w teorii w to wierzyłem, ale w rzeczywistości, nie potrafiłem sobie tego wyobrazić. Odkąd Colton opowiedział o swojej siostrze i o Popie, moje myślenie o niebie zmieniło się. Zobaczyłem je nie tylko jako miejsce z bogato zdobionymi bramami, błyszczących rzekami i ulicami wykładanymi złotem, ale jako królestwo radości i braterskiej przyjaźni, zarówno dla tych, którzy już żyją wiecznie, jak i dla tych na ziemi, których przybycie jest niecierpliwie wyczekiwane. Miejsce, gdzie pewnego dnia będę przechadzał się ze swoim dziadkiem, który dla mnie wiele znaczył, oraz z córką, której nigdy nie poznałem.

Chciałem w to wierzyć całym moim sercem. Szczegóły naszej rozmowy zaczęły wyświetlać się w mojej wyobraźni jak ujęcia filmowe. Te obrazy wydawały się niesamowicie zgadzać z opisami, jakie znamy z Biblii, a dokładniej – jakie znają wszyscy ci, którzy potrafią czytać. Były one niejasne i niezrozumiałe dla większości dorosłych, a co dopiero dla dziecka w wieku Coltona. Natura Trójcy Świętej, rola Ducha Świętego, Jezus siedzący po prawicy Boga.

Wierzyłem w to, ale jak mogłem być pewny?

Wyglądziłem kocyk, którym przykryty był Colton i otuliłem go tak, jak lubił. Po raz pierwszy odkąd zaczął opowiadać o niebie, postanowiłem go sprawdzić.

– Wspomniałeś, że spędziłeś trochę czasu z Popem – powiedziałem. – Kiedy więc się ściemniło i poszliście do domu, to co wtedy robiliście?

---

<sup>21</sup> Hebr 12,1.

- Ale w niebie się nie robi się ciemno, tato! Kto ci to powiedział? – oburzył się.
- Co to znaczy, że się nie robi się ciemno – nie dawałem za wygraną.
- Bóg i Jezus rozjaśniają niebo. Nigdy się nie ściemnia. Zawsze jest jasno.

Zrobiło mi się głupio. Colton nie dał się nabrać na numer z „kiedy się ściemniło”, a nawet potrafił mi powiedzieć, czemu w niebie nie robi się ciemno: „I Miastu nie trzeba słońca ni księżycy, by mu świeciły, bo chwała Boga je oświetliła, a jego lampą – Baranek”<sup>22</sup>.

## Rozdział dziewiętnasty

### ***Jezus naprawdę kocha dzieci***

Pod koniec 2003 roku i na początku 2004 Colton zafiksował się na kilka tematów. Mówił o śmierci i umieraniu w bardzo dziwny jak na dzieciaka w jego wieku sposób. Opowiedział także dokładniej, jak wygląda niebo. Nowe szczegóły wypływały powoli podczas obiadu czy codziennej krzątany.

Widział brany niebios – twierdził, że „są zrobione ze złota i wysadzone perłami”. Samo miasto niebieskie było wykonane z czegoś błyszczącego „jak złoto lub srebro”. Kwiaty i drzewa w niebie, jego zdaniem, były „piękne”, a wszędzie wkoło było mnóstwo zwierząt różnego rodzaju.

Jednak ciekawostki, które nam ujawnił, nie miały znaczenia w porównaniu ze stałym tematem, do którego bez przerwy wracał. Nieustannie powtarzał, jak Jezus kocha dzieci.

Budził się na przykład rano i oznajmiał mi:

- Hej tato, Jezus powiedział, żeby tobie powiedzieć, że On naprawdę kocha dzieci.

Albo podczas obiadu zagadywał:

- Pamiętajcie, Jezus naprawdę kocha dzieci.

Przed pójściem spać, gdy pomagałem mu umyć zęby:

– Tatusiu, nie zapomnij – mrucał niewyraźnie ze szczoteczką w buzi – Jezus naprawdę, *naprawdę* kocha dzieci!

Sonji powtarzał też w kółko to samo. Zaczęła wtedy znowu pracować na pół etatu i podczas dni, kiedy zostawała z Coltonem w domu bez przerwy szczebiotał o tym, że Jezus kocha dzieci. Doszło do tego, że niezależnie od tego, jaką opowieść biblijną czytaliśmy naszemu dziecku, ze Starego czy Nowego Testamentu, o Mojżeszu, Noem czy królu

---

<sup>22</sup> Ap 21,23.

Salomonie, ono zawsze kończyło dzień z jednym zdaniem na ustach, że „Jezus naprawdę kocha dzieci”.

W końcu nie wytrzymałem i wyparowałem:

– Colton, rozumiemy. Możesz już przestać. Kiedy pójde do nieba, zostaniesz zwolniony z tego obowiązku powtarzania w kółko tej samej wiadomości. Powiem Jezusowi, że wykonałeś swoją robotę.

Byliśmy już zmęczeni tym jednostajnym „Jezus naprawdę kocha dzieci”, ale trzeba przyznać, że jego przekaz zmienił nasze podejście do duszpasterstwa dzieci w naszym kościele. Sonja zawsze miała dylemat, czy śpiewać w chórze podczas niedzielnych nabożeństw, czy raczej uczyć dzieci w szkółce niedzielnej. Pomimo że zdawała sobie zawsze sprawę, że większość wierzących ludzi, to ci, u których wiara rozwinęła się w dzieciństwie, to dopiero zapewnienia Coltona o miłości Jezusa do dzieci dały jej świeżą energię i natchnienie do zajmowania się najmłodszymi w naszym duszpasterstwie.

Ja również nabrałem odwagi, by namawiać członków wspólnoty do służenia w duszpasterstwie dzieci. Wcześniej zawsze musiałem walczyć o to, aby ludzie zgłaszali się do uczenia maluchów w szkółce niedzielnej. Odmawiali mi, twierdząc, że albo odbębnili swoją kolej w poprzednim roku albo że są na to za starzy.

Teraz, kiedy słyszałem takie wymówki, uprzejmie przypominałem ludziom, że Jezus umiłował dzieci najbardziej, więc jeśli on je tak bardzo kochał, to my, dorośli, też powinniśmy.

\*\*\*

Mniej więcej w tym samym czasie Colton zaczął mieć obsesję na punkcie tęczy. Wszystkie jego opowieści o wspaniałych kolorach w niebie kojarzyły nam się z Sonją z Apokalipsą św. Jana, w której apostoł Jan pisze o tęczy otaczającej tron Boga<sup>23</sup> i opisuje niebo jako miasto lśniąca złotem:

„A mur jego jest zbudowany z jaspisu, a Miasto – to czyste złoto do szkła czystego podobne. A warstwy fundamentu pod murem Miasta zdobne są wszelakim drogim kamieniem. Warstwa pierwsza – jaspis, druga – szafir, trzecia – chalcedon, czwarta – szmaragd, piąta – sardoniks, szósta – krwawnik, siódma – chryzolit, ósma – beryl, dziewiąta – topaz, dziesiąta – chryzopraz, jedenasta – hiacynt, dwunasta – ametyst<sup>24</sup>”.

---

<sup>23</sup> Ap 4,3.

<sup>24</sup> Ap 21,18-20.

Niektóre z tych drogocennych kamieni mają kolory dobrze nam znane: nasycony fiolet ametystu, lśniąca zieleń szmaragdu, iskrzący odcień topazu, głęboka czerń onyksu. Inne z kolei są mniej popularne: chryzolit, który jest oliwkowozielony; hiacynt – delikatnie czerwony. Beryl występuje w wielu barwach od jasnorożowej, przez zieloną, po akwamarynę.

Rzadkie kamienie sprawiają, że opis Jana jest egzotyczny do tego stopnia, że musimy sprawdzić w encyklopedii te minerały, by wiedzieć, o jakich kolorach pisze. Dorośli teologowie po prostu chcą być bardzo dokładni. Jednak jeśli dzieciak widział te kolory, to po prostu może je podsumować jednym, krótkim wyrazem: „tęcza”.

Kiedy więc wiosną 2004 roku nad Imperial pojawiła się najpiękniejsza tęcza, jaką kiedykolwiek widzieliśmy, zawołaliśmy Coltona, żeby na nią spojrział.

Sonja pierwsza ją zauważyła. Była już wtedy od kilku tygodni w ciąży z dzieckiem, które uważamy teraz za naszą *czwartą* pociechę. Dzień był słoneczny i ciepły, więc chciała otworzyć frontowe drzwi, by wpuścić trochę świeżego powietrza do domu.

– Chodźcie tu szybko coś zobaczyć! – zawołała.

Wybiegłem z kuchni do drzwi wejściowych i aż mi dech zapało, gdy zobaczyłem jasną i barwną tęczę, która wyglądała tak, jak powinna wyglądać idealna tęcza albo rysunek ucznia na lekcji fizyki, który używając nowych kredek starannie przedstawił widmo optyczne. Każdy kolor ostro odróżniał się od drugiego, a cały łuk migotał na tle doskonale niebieskiego nieba.

– Padało i jej nie zauważyłam? – zapytała Sonja ze śmiechem.

– Nie sędzę.

Colton był na dole w pokoju z zabawkami.

– Colton – zawołałem – Chodź tutaj i spójrz na to.

Wygramolił się z piwnicy, by dołączyć do nas na ganku.

– Spójrz na tę tęczę – powiedziała Sonja. – Na pewno na jej końcu jest duży garnek złota<sup>25</sup>.

Colton zmrużył oczy, wpatrując się w kolory lśniące na niebie.

– Super! – powiedział, nonszalancko się uśmiechając. – Modliłem się o nią wczoraj.

Oznajmiwszy to, odwrócił się na pięcie i poszedł dalej się bawić.

Spojrzeliliśmy na siebie z Sonją pytająco. „Co się właściwie stało?” Później omawialiśmy kilkakrotnie kwestię szczerzej i ufnej modlitwy dziecka. Jezus powiedział:

---

<sup>25</sup> Według legendy irlandzki skrzat Leprechaun chował garnek złota na końcu tęczy, czyli w miejscu niedostępnym dla żadnego człowieka (przyp. tłum.).

„Proście, a będzie wam dane”. Tej instrukcji udzielił mówiąc o dziecku proszącym ojca o błogosławieństwo.

„Gdy którego z was syn prosi o chleb, czy jest taki, który poda mu kamień?”. Jezus mówił tymi słowami do ludzi zebranych na wzgórzach Galilei, by słuchać jego nauczania. „Albo gdy prosi o rybę, czy poda mu węża? Jeśli więc wy, choć źli jesteście, umiecie dawać dobre dary swoim dzieciom, o ileż bardziej Ojciec wasz, który jest w niebie, da to, co dobre, tym, którzy Go proszą<sup>26</sup>”.

Colton Burpo nie widział od dłuższego czasu tęczy, więc poprosił Ojca Niebieskiego, żeby zesłał jedną na ziemię. Wiara czysto dziecięca. „Chyba jeszcze musimy się wiele nauczyć od naszego dziecka” – pomyśleliśmy z Sonją.

## Rozdział dwudziesty

### ***Życie i umieranie***

Wiosną 2004 roku minął rok od pobytu Coltona w szpitalu. W tym roku Wielki Piątek wypadał w kwietniu, a dokładnie miesiąc później chłopiec kończył pięć lat. Zawsze lubiłem Wielki Piątek, ponieważ udzielałem wtedy, jak to nazywałem, „rodzinnych komunii”. To oznaczało przebywanie przez kilka godzin w kościele, do którego przybywały całe rodziny i przyjmowały razem komunię. Lubiałem to z kilku powodów. Przede wszystkim pozwalało to rodzinom w naszej wspólnocie spędzić razem trochę czasu w Wielkim Tygodniu. Poza tym miałem wtedy okazję porozmawiać z poszczególnymi rodzinami o ich modlitwach oraz pomodlić się z całą rodziną na miejscu.

Tego ranka musiałem załatwić kilka spraw, wsadziłem więc Cassie i Coltona do samochodu i pojechałem do miasta. Maluch wciąż był za mały, by jeździć bez fotelika. Gdy przejeżdżaliśmy przez główną ulicę, w głowie układałem sobie zadania do wykonania, planując zawczasu rodzinne komunie. Wtedy zdałem sobie sprawę, że przecież dziś jest religijne święto, a ja mam odpowiednich słuchaczy tuż pod ręką, w samochodzie.

– Colton, wiesz, że dzisiaj jest Wielki Piątek? – zapytałem. – Wiesz, co to za dzień?

– Ja wiem, ja wiem! – Cassie zaczęła się skakać do góry i wymachiwać ręką, jak pilny uczeń.

– Nie wiem – zmartwił się Colton.

Spojrzałem wtedy na Cassie:

---

<sup>26</sup> Mt 7,7, 9-11.

- No dobrze, co to jest Wielki Piątek?
- To dzień, w którym Jezus umarł na krzyżu.
- Tak, zgadza się. A wiesz, czemu Jezus umarł na krzyżu?

Przestała na moment skakać i zastanowiła się przez chwilę. Nie wpadła na odpowiedź od razu, więc zapytałem o to samo Coltona, który pokiwał główką, co mnie trochę zaskoczyło.

- No, dlaczego? – ponagliłem go.
- Jezus powiedział mi, że umarł na krzyżu, żebyśmy mogli zobaczyć jego Ojca.

Oczami wyobraźni zobaczyłem Jezusa z Coltonem na kolanach, obalającego wszelkie teologiczne rozprawy i upraszczającego trudne słowa jak pojednanie i soteriologia do zdania, które zrozumiałoby dziecko: „Musiałem umrzeć na krzyżu, żeby ludzie na ziemi mogli zobaczyć mego Ojca”.

Odpowiedź Coltona na moje pytanie była najprostszą i najsłodsza deklaracją Dobrej Nowiny, jaką kiedykolwiek słyszałem. Znow zacząłem się zastanawiać nad różnicą między wiarą dorosłych i dzieci.

Jadąc główną ulicą miasta, doszedłem do wniosku, że wolę wiarę Coltona. Przez kilka minut prowadziłem w milczeniu. Nagle odwróciłem się do niego i zapytałem:

- Colton, chcesz wygłosić kazanie w niedzielę?

\*\*\*

Jeszcze w tym miesiącu Colton po raz drugi wyprowadził mnie z równowagi. Tym razem sprawa dotyczyła życia lub śmierci.

Wyznajemy z Sonją zasadę, że głównym zadaniem rodzica od momentu, kiedy dziecko zaczyna chodzić, aż gdy pójdzie do pierwszej klasy, jest utrzymanie go przy życiu. Żadnych widelców w kontaktach. Żadnych suszarek w wannie. Żadnych puszek z napojami gazowanymi w mikrofali. Udało nam się to z Cassie. Miała już siedem lat i nie stanowiła zagrożenia sama dla siebie i innych. Za to Colton to zupełnie inna bajka.

Był bystrym chłopcem, ale jednej rzeczy nie mógł pojąć: kiedy ludzkie ciało napotyka pędzący samochód, nic dobrego z tego nie wynika.

Niedługo mógł już iść do przedszkola, ale ciągle był malutki, co oznaczało, że wdał się w tatę i był niski jak na swój wiek. Był też niesamowicie energicznym dzieckiem, które zaczynało biec do samochodu tuż po wyjściu ze sklepu. Baliśmy się, że inni kierowcy nie zauważą go i go przejadą. Niemal raz lub dwa w tygodniu musieliśmy ciągnąć go z powrotem

na chodnik lub krzycheć za nim „COLTON, STÓJ!”, a potem biec za nim, by go strofować: „*Musisz* na nas zaczekać! *Musisz* trzymać się ręki mamusi lub tatusia!”

Pod koniec kwietnia zatrzymaliśmy się z Coltonem na hamburgera w Sweden Creme. To rodzinny bar a jednocześnie odpowiedź miasteczka takiego jak Imperial na sieciowe fast-foody, które omijają naszą małą miejscowością. Każde podobnej wielkości miasto w Nebrasce ma takie miejsce. McCook ma Mac’s; Benkleman ma Dub’s. W Holyoke, która jest małą miejscowością tuż przy granicy ze stanem Kolorado, mają swoje Dairy Kings. Wszyscy serwują te same dania: hamburgery, nuggetsy z kurczaka i kręcone lody.

Tamtego dnia kupiłem waniliowe rożki dla siebie i Coltona. Zgodnie z tradycją mój syn wyszedł na zewnątrz, polizał loda i pędem ruszył w stronę parkingu, który znajduje się tylko kilka metrów od głównej ulicy.

Z sercem podchodzącym do gardła krzychałem za nim: „COLTON, STÓJ!”

Zatrzymał się, a ja, czerwony z wściekłości, podbiegłem do niego.

– Synu, *nie możesz tak robić!* – krzychałem. – Ile razy mam ci to powtarzać?!

Dostrzegłem na środku ulicy kupkę futerka. Myśląc, że dam mu świetną lekcję, wskazałam na nie.

– Widzisz to?

Colton polizał swojego loda i spojrzał w kierunku, który wskazywałem.

– To zajaczek, który próbował przejść na drugą stronę ulicy i mu się to nie udało – powiedziałem. – To samo może się przytrafić tobie, jeśli wybiegniesz na ulicę, a kierowca cię nie zauważy! Mógłbyś nie tylko zostać ranny, ale także umrzeć!

Colton spojrzał wtedy na mnie i się uśmiechnął od ucha do ucha.

– To dobrze! – odpowiedział. – To znaczy, że mógłbym wrócić do Nieba!

Zirygowany spuściłem bezradnie głowę. Jak można przestraszyć dziecko, które nie boi się śmierci?

Ostatecznie uklęknąłem przed nim i spojrzałem mu prosto w oczy:

– Nie rozumiesz, o co mi chodzi – powiedziałem. – Tym razem ja pierwszy pójdę do nieba. Jestem tatą, a ty jesteś dzieckiem. Rodzice mają pierwszeństwo!

Rozdział dwudziesty pierwszy

***Pierwsza osoba, którą spotkasz***

Lato minęło bez nowych rewelacji ze strony Coltona, chociaż jestem pewien, że graliśmy w grę „Jak wygląda Jezus?” podczas wakacji. Maluch krytykował niemal każdy obraz, jaki widzieliśmy. Doszło do tego, że zamiast pytać, czy obraz się zgadza z „rzeczywistością”, pytaliśmy się go od razu, co jest z nim nie tak.

Nadszedł sierpień, a wraz z nim doroczna duma miasta Imperial – jarmark Chale County Fair. Nasz jarmark jest jednym z największych w stanie, zaraz po jarmarku stanu Nebraska. W Imperialu i okolicznych miejscowościach jest to główne wydarzenie roku. Przez tydzień populacja Imperial wzrasta z dwóch tysięcy do piętnastu. Sklepy zmieniają godziny otwarcia (lub zostają zupełnie zamknięte), nawet banki kończą pracę w południe, aby cała społeczność mogła pójść na koncerty (rock w piątki wieczorem, country w soboty) i karuzele, odwiedzić stoiska i skorzystać z innych jarmarcznych atrakcji.

Każdego roku nie możemy się doczekać tych widoków, dźwięków, zapachów i smaków. Prażonej kukurydzy, barbecue, tacos. Wszechobecnej muzyki country i ogromnego koła diabelskiego młyna, widocznego z każdego zakątka miasteczka.

Jarmark jest specjalnością Środkowego Zachodu, z konkursami na najlepszego byka, konia i tucznika, oraz z ulubioną zabawą dla najmłodszych, która polega na tym, że dziecko dosiada owcy i stara się na niej ujechać najdalej, jak się da. Dla każdej z grup wiekowych przewidziane są imponujące nagrody. Często zdarza się, że trofeum za pierwsze miejsce jest większe od małego zwycięzcy.

Nasz jarmark jest z pewnością dość prowincjonalny i ma klimat amerykańskiego Południa, co miał okazję odkryć pewien przedsiębiorca sprzedający lemoniadę. Pewnego roku postanowił opchnąć więcej swojego smacznego napoju, używając w tym celu rozneglizowanych dziewcząt. Już drugiego wieczora mnóstwo osób narzekało na skąpo odziane sprzedawczynie przy jego stoisku. Ostatecznie kilkoro mieszkańców musiało mu zwrócić uwagę, żeby jakoś przyodział swoje hostessy. Choć trzeba przyznać, że przez pierwsze dwa dni ustawiła się do niego dość długa kolejka...

W sierpniu 2004 roku ustawiliśmy z Sonją stoisko naszej firmy montującej bramy garażowe, żeby pozyskać klientów spoza miasta. Jak zwykle musiałem znaleźć czas, by pogodzić rodzinny interes z moimi obowiązkami w naszej wspólnocie. Pewnego ciepłego popołudnia, gdy we czwórkę pracowaliśmy na stoisku, rozdając ulotki reklamowe i rozmawiając z potencjalnymi klientami, musiałem zostawić rodzinę i pojechać do domu spokojnej starości, by odwiedzić człowieka, który nazywał się Harold Greer.

Jego córka, Gloria Marshall, grała na keyboardzie podczas nabożeństw w naszym kościele, a jej mąż Daniel służył do mszy jako drugi pastor. Harold, duszpasterz przez całe



swoje życie, dobiegał osiemdziesiątki i był umierający. Wiedziałem, że to były jego ostatnie godziny i że powinien odwiedzić go po raz ostatni, by wesprzeć Głorię i Daniela i pomodlić się razem z Haroldem.

Jeśli jesteś pastorem/członkiem ochotniczej straży pożarnej/trenerem zapasów/właścicielem firmy i starasz się trzymać każdą srokę za ogon i nie wypuścić żadnej, szybko się uczysz, że dzieci są bardzo „poręczne”. Sonja jest żoną pastora, co samo w sobie jest pracą na pełen etat, poza tym jest mamą, nauczycielką, sekretarką w rodzinnej firmie i jeszcze w ramach wolontariatu pomaga w bibliotece. Podobnie jak ja – jest ciągle w biegu. Wyrobiliśmy więc w sobie nawyk, że jeśli *nie szliśmy oficjalnie do pracy*, to zabieraliśmy jedno z dzieci ze sobą. Tego popołudnia na jarmarku zostawiłem Sonję, która była już w siódmym miesiącu ciąży, wraz z Cassie na naszym stoisku, a sam zapakowałem Coltona do samochodu i pojechałem do domu spokojnej starości.

Colton wyglądał przez okno, gdy mijaliśmy diabelski młyn przy wyjeździe z wesołego miasteczka.

– Jedziemy spotkać się z tatą Głorii – Haroldem w domu spokojnej starości – powiedziałem. – Źle się czuje i pewnie nie zostało mu zbyt wiele czasu. Harold dawno temu oddał swoje życie w ręce Jezusa, a teraz przygotowuje się do pójścia do nieba.

– Dobrze, tatusiu. – Colton nawet nie oderwał wzroku od okna.

Dom spokojnej starości to jednopiętrowy budynek z wielką jadalnią od frontu. Znajduje się tu ogromna klatka dla ptaków, które nieustannie latają i ćwierkają, przenosząc trochę dworu do środka.

Gdy zająłem do pokoju Harolda, ujrzałem Daniela i Głorię wraz z trzema lub czterema innymi członkami rodziny, w tym dwiema córkami Harolda.

Daniel wstał na mój widok.

– Witam, pastorze – powiedział, podając mi dłoń, którą szybko zamieniłem w przyjacielski uścisk. W ten sam sposób – uściskiem – przywitałem się z Głorią. Rodzina przywitała Coltona, który trzymał mnie mocno za rękę i tylko wymamrotał ciche „dzień dobry”.

Odwróciłem się w stronę łóżka Harolda i zobaczyłem go leżącego bez ruchu i ciężko oddychającego. Wiele razy widziałem kobiety i mężczyzn w tej ostatniej fazie życia. Na przemian tracą lub odzyskują świadomość, a kiedy są przytomni, jasność umysłu także przychodzi i odchodzi na przemian.

– Jak się miewa twój tata? – zwróciłem się do Głorii.

– Jakoś się trzyma, ale nie sędzę, żeby pozostało mu wiele czasu – odparła. Była dzielna, ale zauważyłem, że gdy mówiła, drżała jej lekko broda. W tamtym momencie Harold zaczął mruczeć coś cicho i kręcić się pod cienkim prześcieradłem, które go okrywało. Jedna z sióstr Glorii wstała i podeszła do łóżka, szepcząc uspokajająco, po czym wróciła na swoje krzesło pod oknem.

Podszedłem do łóżka i stanąłem przy głowie Harolda. Colton szedł za mną krok w krok. Harold, wychudzony i łysiejący, leżał na plecach, oczy miał przymknięte, a usta lekko rozchylone. Oddychał przez usta i wyglądało to tak, jakby zatrzymywał powietrze w buzi, wyciskając z niego każdą cząsteczkę tlenu, zanim wziął kolejny wdech. Zerknąłem na Coltona wpatrującego się ze spokojem w jego twarz. Położyłem dłoń na ramieniu starego duszpasterza i zamknąwszy oczy, głośno się modliłem, przypominając Bogu o jego długiej i wiernej posłudze, i prosząc, by przy przyjął swojego sługę z wielką radością. Gdy skończyłem, wróciłem do członków jego rodziny. Colton cofnął się razem ze mną, aż raptem obrócił się na pięcie i podbiegł do łóżka Harolda.

Chwycił starego duszpasterza za rękę. Wszyscy w sali zamarli. Każdy przyglądał się tej niecodziennej scenie. Wpatrując się intensywnie w twarz Harolda, Colton powiedział:

– Będzie dobrze. Pierwszą osobą, którą spotkasz, będzie Jezus.

Jego głos brzmiał rzeczowo, jakby opisywał coś tak realnego i znanego jak miejscowa straż pożarna. Daniel i Gloria spojrzeli na siebie wymownie, a ja poczułem się bardzo surrealistycznie. Wtedy już przywykłem, że Colton opowiada o niebie. Ale w tamtym momencie stał się małym przewodnikiem dla odchodzącego niebiańskiego wędrowca.

## Rozdział dwudziesty drugi

### ***W niebie nikt nie jest stary***

Kiedy w 1975 roku zmarł Pop, odziedziczyłem po nim kilka rzeczy. Byłem dumny, że otrzymałem strzelbę, z której korzystałem, gdy razem polowaliśmy na pieski preriowe i zające. W spadku po dziadku dostałem także kulę do bowlingu, a potem, jego stare biurko, które miał, odkąd moja mama sięga pamięcią. Drewno miało nieokreślony kolor, coś między czereśnią a klonem, a poza tym biurko było bardzo ciekawym meblem. Po pierwsze dlatego, że było dość małe, a należało do ogromnego człowieka, a po drugie ponieważ zamiast prostego boku w miejscu, gdzie powinno stać krzesło, było wyprofilowane. Ponieważ jako

nastolatek miałem w szkole podstawy stolarki, spędziłem wiele godzin w garażu rodziców, odnawiając biurko Popa. Skończone, wstawiłem do swojego pokoju, by przypominało mi o człowieku, który był solą ziemi.

Od czasu, gdy wyremontowałem mebel, trzymałem zdjęcie Popa w górnej lewej szufladzie i często je stamtąd wyciągałem, by go sobie przypomnieć. Było to jego ostatnie zdjęcie. Miał na nim sześćdziesiąt jeden lat, białe włosy i okulary na nosie. Po ślubie z Sonją biurko wraz ze zdjęciem pojawiło się w naszym domu.

Po tym jak Colton opowiedział o spotkaniu z Popem w niebie, zauważyłem, że choć szczegółowo opisał wygląd Jezusa oraz stwierdził, że jego nienarodzona siostra jest „mniejsza niż Cassie i ma ciemne włosy”, to kiedy zapytałem go, jak wygląda Pop, Colton głównie mówił o jego ubraniu i wielkości skrzydeł. Gdy poprosiłem go o opisanie twarzy dziadka, mętnie coś odpowiedział. Muszę przyznać, że nurtowało mnie to i męczyło.

Niedługo po wypadzie do Benkelman zwołałem Coltona do piwnicy, gdzie wyciągnąłem z szuflady zdjęcie Popa.

– Tak sobie zapamiętałem Popa – powiedziałem.

Colton wziął ode mnie fotkę, trzymając w obu rączkach ramkę, i przyglądał się jej przez minutę. Czekałem aż po jego twarzy przemknie błysk rozpoznania, ale nie nic takiego nie dostrzegłem. Zmarszczył się tylko i pokręcił głową:

– Tato, nikt w niebie nie jest stary – oznajmił. – I nikt nie nosi okularów.

Powiedziawszy to, obrócił się i ruszył pewnym krokiem na górę.

„Nikt w niebie nie jest stary...” – powtórzyłem w myślach.

Stwierdzenie to dało mi do myślenia. Po jakimś czasie zadzwoniłem do swojej mamy w Ulysses.

– Masz może zdjęcia Popa, gdy był młodym mężczyzną?

– Pewnie, że tak – odpowiedziała. – Będę musiała je odszukać. Chciałabyś, żebym ci to przesłała pocztą?

– Nie, nie chciałbym, żeby się zgubiło. Zrób tylko kopię i prześlij ją do mnie.

Minęło kilka tygodni, aż w końcu otworzyłem skrzynkę i wyciągnąłem z niej kopertę od mamy, w której była kopia czarno-białej fotografii. Później dowiedziałem się, że wygrzebała je z pudełka, które wsadziła do szafy w sypialni, kiedy Cassie była niemowlakiem, i które tam schowała na dwa lata przed narodzinami Coltona.

Na zdjęciu były cztery osoby, więc mama napisała liścik wyjaśniający, kim byli: moja dwudziestoletnia wtedy babcia Ellen, która teraz ma osiemdziesiąt lat i ciągle mieszka w Ulysses. Widzieliśmy się z nią po raz ostatni niecałe dwa miesiące temu. Zdjęcie przedstawiało

także moją mamę, z czasów, kiedy była osiemnastomiesięcznym bobasem, wujka Billa, który miał wtedy sześć lat, oraz przystojnego Popa, który w 1943 roku, kiedy fotka została zrobiona, miał dwadzieścia dziewięć lat.

Oczywiście nigdy nie powiedziałem Coltonowi, jak bardzo martwił mnie fakt, że nie rozpoznał Popa na moim pamiątkowym zdjęciu. Tego wieczora siedzieliśmy z Sonją w naszym pokoju, gdy zawołałem Coltona. Trochę czasu mu zajęło, by się zjawić u nas, a kiedy w końcu dotarł, pokazałem mu skserowane zdjęcie, przesłane przez mamę.

– Colton, obejrzyj tę fotografię – powiedziałem, pokazując mu kupię. – Co o tym myślisz?

Wziął zdjęcie z mojej ręki, spojrzał na nią, a potem na mnie – ze zdziwieniem w oczach.

– Skąd masz zdjęcie Popa? – zapytał zaskoczony.

Wymieniliśmy z Sonją równie zdziwione spojrzenia.

– A rozpoznajesz jeszcze kogoś na tym zdjęciu? – zapytałem.

– Nie – pokiwał przecząco głową.

– A jak myślisz, kto to jest? – wskazałem na fotce moją babcie.

– Nie wiem.

– To jest moja babcia Ellen.

– *Nie wygląda* jak babcia – Colton nie chciał mi uwierzyć.

– No, kiedyś tak wyglądała – chichocząc, zerknąłem na Sonję.

Kiedy maluch wyszedł z pokoju, zaczęliśmy roztrząsać z żoną, że Colton rozpoznał Popa na zdjęciu, które zostało zrobione pół wieku przed jego narodzinami i którego nigdy nie wcześniej nie widział, ale nie poznał swojej prababci, która była u nas kilka miesięcy wcześniej.

Gdy się nad tym głębiej zastanowiliśmy, doszliśmy do wniosku, że Pop, z którym Colton spędził trochę czasu w niebie, nie był sześćdziesięciolatkiem, ale mężczyzną w sile wieku, co było w połowie dobrą, a w połowie złą nowiną. Złą, dlatego że w niebie będziemy ciągle wyglądać jak my. A dobrą, bo będzie to nasza młodsza wersja.

Rozdział dwudziesty trzeci

**Moc z góry**

Czwartego października 2004 roku na świat przyszedł Colby Lawrence Burpo. Od samych narodzin wyglądał jak wierna kopia Coltona. Jednak Bóg sprawił, że był wyjątkowy, jak wszystkie nasze dzieci. Cassie była wrażliwym dzieckiem, Colton poważnym, a Colby był naszym wesółkiem. Od bardzo młodych lat jego wyglupy wносиły dużą dawkę śmiechu do naszego domu.

Pewnego wieczora Sonja weszła do pokoju Coltona, by przeczytać mu przypowieść z Biblii.

Usiadła na brzegu jego łóżka i czytała mu, kiedy on leżał na poduszce przykryty kocykiem. Gdy skończyli, przyszedł czas na modlitwę.

Jedną z najpiękniejszych rzeczy, które przydarzają się rodzicom, jest możliwość słuchania modlitw swoich dzieci. Dzieci, kiedy są małe, nie modlą się na pokaz, co robią niekiedy dorośli. Nie używają modlitewnego języka, który ma się bardziej podobać samym słuchającym niż Bogu. Colton i Cassie mówili modlitwy prosto i szczerze, a Bóg, zdaje się, na nie chętnie odpowiadał.

Od samego początku stosowaliśmy zasadę podsuwania dzieciakom konkretnych rzeczy, za które mieli się modlić. Robiliśmy to nie tylko po to, by zbudować ich wiarę, ale też dlatego że modlenie się za innych to sposób na otworzenie swojego serca na potrzeby bliźnich.

– Wiesz, że tatuś głosi kazania każdego tygodnia, prawda? – zagadnęła Coltona Sonja.  
– Myślę, że powinniśmy pomodlić się za niego, żeby miał wiele czasu na przemyślenia w tym tygodniu, aby mógł przekazać wiernym coś ważnego w niedzielę.

Colton spojrzał na nią i powiedział wtedy najdziwniejszą rzecz:

– Widziałem, jak tatuś dostał strzał mocy z góry.

Później Sonja opowiadała mi, że musiała się chwilę zastanowić, by przetrwać te słowa. „Moc z góry?”

– Co masz na myśli?

– Jezus obdarza tatusia mocą, kiedy on mówi.

– Kiedy?... Kiedy tatuś mówi w kościele? – Sonja obróciła się w stronę Coltona, by spojrzeć mu w oczy.

– Tak, w kościele. Kiedy opowiada przypowieści biblijne – przytaknął.

Moja żona nie wiedziała, co na to odpowiedzieć. Ale była to jedna z tych chwil, do których zdążyliśmy się przyzwyczaić przez ostatnie półtora roku. Zaczęli się więc razem modlić, wysyłając do nieba prośby, by tatuś powiedział w niedzielę dobre kazanie.

Potem Sonja cichutko wyszła z pokoju Coltona i przysłała do salonu, by zdać mi relację z dziwnej rozmowy, którą przeprowadziła z synkiem.

– Tylko nie waż się budzić go i pytać o to! – zabroniła.

Musiałem więc czekać do następnego ranka.

– Hej, mały – zagaiłem, wlewając mleko do płatków śniadaniowych Coltona. – Mamusia mi opowiadała, że rozmawialiście wczoraj wieczorem podczas czytania przypowieści z Biblii. Czy możesz mi powiedzieć, o czym wtedy mamie mówiłeś... o Jezusie, który obdarza mocą? Co to za moc?

– To Duch Święty – odpowiedział krótko. – Widziałem to. On mi pokazał.

– Duch Święty?

– Tak, obdarza cię mocą, kiedy mówisz w kościele.

Gdyby nad głowami ludzi pojawiałyby się dymki jak z komiksów, moja byłaby wypełniona samymi znakami zapytania i wykrzyknikami. Każdej niedzieli przed kazaniem odmawiam podobną modlitwę: „Boże, jeśli nie pomożesz dzisiaj, to moje kazanie nie dotrze do ludzi”. Dzięki słowom Coltona zdałem sobie sprawę, że modliłem się, ale nie wiedziałem dokładnie, o co. A że Bóg odpowiadał mi na moją prośbę „obdarzając mnie mocą”, to było... po prostu niesamowite.

## Rozdział dwudziesty czwarty

### ***Przeżycie Ali***

Po narodzinach Colby’ego, stwierdziliśmy z Sonją, że nie możemy już brać wszędzie ze sobą dzieci. Teraz byliśmy w mniejszości dwa do trzech. Uznaliśmy, że nadszedł czas na stałą opiekunkę do dzieci, więc zatrudniliśmy bardzo dojrzałą czternastolatkę Ali Titus, by doglądała dla nas maluchy. W poniedziałki wieczorem graliśmy z Sonją w softball w naszej starej drużynie, chociaż moje najlepsze dni miałem już za sobą.

Pewnego poniedziałkowego popołudnia w 2005 roku Ali przysłała do nas zająć się dziećmi, a my poszliśmy na nasz trening. Około dziesiątej wieczorem zaparkowaliśmy z powrotem pod domem. Sonja wysiadła i weszła od razu do domu, podczas gdy ja zostałem w garażu, by zamknąć na noc drzwi garażowe, nie słyszałem więc, co się dzieje w środku.

Wewnętrzne drzwi od garażu prowadzą prosto do naszej kuchni, więc kiedy Sonja weszła do środka, jak mi później opowiadała, zastała Ali przy zlewie, zmywającą naczynia i... całą zapłakaną.

– Ali, co się stało? – zapytała. Czyżby coś złego działo się z nią czy z dziećmi?!

Ali wytarła ręce ręcznikiem.

– Hm, naprawdę nie wiem, jak to powiedzieć, proszę pani – zaczęła. Wbiła w podłogę wzrok, niepewna, czy może coś powiedzieć.

– Wszystko w porządku – zachęciła Sonja. – O co chodzi?

– Przepraszam, że o to pytam..., ale czy pani poroniła? –oczy Ali wypełniły się łzami.

– Tak – odpowiedziała zaskoczona Sonja. – Skąd to wiesz?

– Rozmawiałam o tym z Coltonem.

Sonja zaprowadziła Ali na kanapę i poprosiła, żeby opowiedziała jej, jak doszło do tej rozmowy.

– Zaczęło się po tym, kiedy położyłam Colby’ego i Coltona spać – odpowiedziała Ali. Cassie poszła na dół do swojego pokoju, a nasza opiekunka dała Colby’emu butelkę, a potem zaniósła go do jego kołyski na górze. Potem zapakowała do łóżka i poszła do kuchni, żeby posprzątać po kolacji, którą podała dzieciom. – Odkręciłam wodę w zlewie i wtedy usłyszałam, że Colton płacze.

Ali poszła do niego i zastała go siedzącego na łóżku i zalanego łzami.

– Co się stało? – zapytała go.

– Tęsknię za siostrą – odpowiedział, pociągając nosem.

Ali uśmiechnęła się, stwierdzając, że można prosto rozwiązać ten problem.

– Chcesz, żebym zeszła na dół po nią?

Colton pokręcił głową.

– Nie, ja tęsknię za moją *drugą* siostrą.

Ali była zdezorientowana.

– Twoją drugą siostrę? Ale masz tylko jedną siostrę i jednego brata. Cassie i Colby’ego.

– Nie, mam jeszcze jedną – upierał się Colton. – Widziałem ją. W niebie. – Wtedy znowu się rozpłakał. – I bardzo za nią tęsknię.

Kiedy Ali opowiadała Sonji tę część historii, jej oczy wypełniły się łzami.

– Nie wiedziałam, co powiedzieć, proszę pani. Był taki smutny. Zapytałam go więc, kiedy widział tę drugą siostrę.

– Kiedy byłem mały, miałem operację i wtedy poszedłem do nieba i zobaczyłem moją siostrę – wyjaśnił Colton.

Wtedy Colton zaczął płakać jeszcze mocniej.

– Nie rozumiem, czemu moja siostra nie żyje – rozpacział. – Nie wiem, dlaczego jest w niebie, a nie tutaj.

Ali siedziała na łóżku Coltona, jak to ujęła, „w totalnym szoku”. To zdecydowanie nie była normalna sytuacja z listy „w razie nagłego wypadku”, przygotowywanej dla opiekunki przez wszystkich rodziców, typu: (1) do kogo dzwonić w razie pożaru; (2) do kogo dzwonić w razie choroby. Raczej (3) do kogo dzwonić, kiedy dziecko opowiada o nadprzyrodzonym doświadczeniu.

Ali wiedziała, że Colton był kilka lat temu bardzo chory i że spędził trochę czasu w szpitalu. Nie wiedziała jednak, co się stało na sali operacyjnej. Nie miała pojęcia, co powiedzieć, gdy Colton wydostał się spod kołdry i wdrapał się jej na kolana. Płakał więc, a ona razem z nim.

– Tęsknię za moją siostrą – powtarzał, przytulając się do niej.

– Ciiiichooo, wszystko będzie dobrze, Colton – tuliła go. – Nic nie dzieje się bez powodu. – Siedziała tak z maluchem, bujając go na rękach, aż zapłakany w końcu zasnął.

Ali skończyła opowiadać, a Sonja ją po prostu uścisnęła. Potem Ali opowiadała nam, że nie mogła przestać myśleć o tym, co jej powiedział Colton i co usłyszała od Sonji o poronieniu.

Ali wychowała się w chrześcijańskiej rodzinie, ale miała podobne wątpliwości i pytania, co wielu z nas, np. dlaczego religie tak się od siebie różnią?. Jednak historia Coltona i jego nienarodzonej siostry wzmocniła jej wiarę.

– Kiedy słuchałam go, jak opisywał twarz dziewczynki... to nie było coś, co mógł zmyślić sześciolatek – opowiadała nam. – Teraz, kiedy mam wątpliwości, przypominam sobie twarz Coltona, po której ciekły strumieniami łzy, kiedy mówił mi, jak bardzo tęskni za swoją siostrą.

## Rozdział dwudziesty piąty

### ***Miecz aniołów***

Z perspektywy dzieciaków najlepszą rzeczą, jaka zdarzyła się w 2005 roku, to film „Lew, czarownica i stara szafa”. Podczas świąt Bożego Narodzenia zabraliśmy nasze pociechy do kina. Byliśmy z Sonją ciekawi ekranizacji „Opowieści z Narnii” C.S. Lewisa,



ponieważ jako dzieci uwielbialiśmy tę serię. Colton był najbardziej podekscytowany faktem obejrzenia filmu, który pokazywał, jak dobrzy biją mieczami tych złych.

Na początku 2006 roku wypożyczyliśmy DVD i usadowiliśmy się w salonie, żeby rodzinie je obejrzeć. Usiedliśmy wszyscy na podłodze, Sonja, Cassie i ja tylko opieraliśmy się o kanapę. Colton i Cosby przykucnęli przed nami, kibicując Lwu Aslanowi, Władcy Puszczy oraz Łucji, Edmundowi, Piotrowi i Zuzannie. Dom nawet pachniał jak kino, ponieważ zrobiliśmy w mikrofalówce miskę popcornu, która stała na podłodze w zasięgu ręki.

Jeśli nie wiedzieliście filmu „Lew, czarownica i stara szafa”, to jest to opowieść osadzona podczas II wojny światowej. Rodzeństwo: Łucja, Edmund, Piotr i Zuzanna Pevensie, wysłane z Londynu do domu ekscentrycznego profesora, nudzi się u niego śmiertelnie, dopóki Łucja nie natyka się na starą zaczarowaną szafę, która prowadzi do czarodziejskiego królestwa zwanego Narnia. W Narnii zwierzęta potrafią mówić ludzkim głosem, jest także zamieszkała przez takie stworzenia jak krasnoludy, hobgoliny i centaury. Krainą rządzi lew Aslan, który jest dobrym i mądrym władcą, ale jego największy wróg, Biała Czarownica, rzuciła czar na Narnię i sprawiła, że panuje tam wieczna zima i nigdy nie nadchodzą święta Bożego Narodzenia. W prawdziwym świecie nasi bohaterowie są normalnymi dziećmi, ale w Narnii stają się księciami i księżniczkami, ale też wojownikami walczącymi po stronie Aslana.

Tego wieczoru, kiedy oglądaliśmy finałową fantastyczno-średniowieczną scenę walki, Colton, który miał już wtedy sześć lat, nie mógł ukryć swojego zachwytu, szczególnie gdy skrzydlate stwory zrzucały głazy z nieba, a rodzeństwo Pevensie, ubrane w bojowe stroje, walczyło na miecze z armią złej Białej Czarownicy. Podczas walki Aslan poświęcił swoje życie, by uratować Edmunda. Ale gdy na koniec odżył i zabił Czarownicę, Colton poderwał się na równe nogi i wykonał piąstką gest zwycięstwa. Lubił, gdy dobrzy zwyciężali.

Kiedy na ekranie pojawiły się napisy końcowe, a Colby rzucił się na resztę popcornu, Sonja skomentowała film, mówiąc do Coltona:

– Pewnie jedna rzecz nie podobała ci się w niebie – nie było tam mieczy.

Podniecenie chłopca zniknęło tak szybko, jakby ktoś gumką starł uśmiech z jego twarzy. Stał na równe nogi przed Sonją, które ciągle siedziała na podłodze, i spojrzał na nią z góry.

– W niebie *też* są miecze! – odparł.

Sonja, zdziwiona jego impulsywną reakcją, spojrzała na mnie ukradkiem, po czym z uśmiechem zapytała Coltona:

– No dobrze, a po co im miecze w niebie?

– Mamo, szatan nie jest jeszcze w piekle – wyjaśnił, z oburzeniem w głosie, że tego nie wie. – Aniołowie noszą przy sobie miecze, żeby szatan trzymał się od nieba z daleka!

Znowu przypomniało mi się Pismo Święte, tym razem Ewangelia św. Łukasza gdzie Jezus mówi swoim uczniom: „Widziałem szatana, który spadł z nieba jak błyskawica”<sup>27</sup>.

Po głowie chodził mi też fragment z Księgi Daniela, w którym Daniela odwiedza anioł w odpowiedzi na jego modlitwy, ale mówi, że spóźnił się o dwadzieścia jeden dni z powodu walki z „księciem królestwa Persów”<sup>28</sup>. Teologowie uważają, że chodzi tutaj bitwę duchową, w której Gabriel zwalcza złe moce.

Ale skąd mógł to wiedzieć sześciolatek? Tak, Colton chodził już od dwóch lat do szkółki niedzielnej, ale dobrze wiedziałem, że program nauczania nie obejmuje lekcji o szatanie.

Widziałem, że Sonja nie bardzo wie, co odpowiedzieć Coltonowi, który ciągle jeszcze się na nią boczył. Miał teraz podobny wyraz twarzy do tego, kiedy go zapytałem, czy w niebie się ściemnia. Postanowiłem rozładować atmosferę.

– Colton, jestem pewny, że zapytałeś, czy też możesz dostać miecz – powiedziałem.

Słyszając to, maluch przestał się krzywić, tylko lekko opuścił zrezygnowany ramiona.

– Tak, pytałem. Ale Jezus powiedział, że mi nie da, bo będę zbyt niebezpieczny.

Słyszając te słowa, zaśmiałem się, zastanawiając się, czy Jezus uznał, że Colton będzie zagrożeniem dla siebie, czy dla innych.

W naszych dyskusjach o niebie Colton nigdy nie wspominał o szatanie ani my się go o to nie pytaliśmy. Kiedy człowiek myśli o niebie, widzi tylko krystalicznie czyste strumienie i ulice wyłożone złotem, a nie anioły i demony walczące na miecze.

Jednak kiedy w końcu poruszył ten temat, postanowiłem ciągnąć go dalej.

– Colton, a *widziałeś* szatana?

– Tak, widziałem – odpowiedział z poważną miną.

– Jak on wygląda?

Kiedy padło to pytanie, Colton zaczął się wiercić, skrzywił się i zmrużył oczy. Przestał mówić. Zupełnie przestał się odzywać tego wieczoru.

Pytaliśmy go potem jeszcze kilkakrotnie o szatana, ale w końcu poddaliśmy się, ponieważ jego reakcja była niepokojąca: niemal natychmiast z wesołego chłopca zmieniał się w przerażonego. Jakby mentalnie uciekał do bezpiecznego pokoju, barykadował drzwi,

---

<sup>27</sup> Łk 10 18.

<sup>28</sup> Dn 10,13.

zamykał okna i spuszczał żaluzje. Stało się jasne, że oprócz tęczy, koni i złotych ulic, widział też w niebie coś bardzo nieprzyjemnego. I nie chciał o tym mówić.

## Rozdział dwudziesty szósty

### ***Nadchodząca walka***

Kilka miesięcy później miałem kilka spraw do załatwienia w McCook, miejscowości oddalonej niecałe sto kilometrów od Imperial, w której znajdował się najbliższy sklep Wal-Mart. Dla wielu Amerykanów godzina drogi do Wal-Martu, to bardzo długo, ale na wsi, ludzie przyzwyczajają się do takich odległości. Zabrałem ze sobą Coltona i nigdy nie zapomnę rozmowy, którą odbyliśmy w drodze powrotnej. Nasz syn już opowiadał mi o niebie, nawet wspominał o mojej przeszłości, ale nigdy wcześniej nie zająknął się nawet, że zna moją przyszłość.

Wracaliśmy przez Culbertson, pierwsze miasto na zachód od McCook, i mijaliśmy po drodze cmentarz. Colton, już wystarczająco duży, by nie siedzieć foteliku, przyglądał się przez okno rzędom nagrobków.

– Tato, a gdzie jest pochowany Pop – zapytał.

– Jego ciało jest pochowane na cmentarzu w Ulysses w Kansas, tam gdzie mieszka babcia Kay – odpowiedziałem. – Kiedy będziemy tam następnym razem, zabiorę cię, jeśli chcesz. Ale przecież wiesz, że to nie jest miejsce, gdzie Pop teraz jest.

Colton nie przestawał wyglądać przez okno.

– Wiem. Jest w niebie. Ma nowe ciało. Jezus powiedział mi, że jeśli nie idziesz do nieba, nie dostaniesz nowego ciała.

„Chwileczkę” – pomyślałem – „pojawia się nowa informacja”.

– Naprawdę? – to było wszystko, co powiedziałem.

– Tak – potwierdził, po czym dodał – Tato, a wiedziałeś, że będzie wojna?

– Co masz na myśli? – nie byłem pewny, czy ciągle rozmawiamy o niebie.

– Będzie wojna, która zniszczy ten świat. Jezus, aniołowie i dobrzy ludzie będą walczyć przeciwko szatanowi, potworom i złym ludziom. Widziałem to.

Pomyślałem o bitwie opisanej w Apokalipsie św. Jana i moje serce zaczęło szybciej bić.

– Jak to widziałeś to?

– W niebie, kobiety i dzieci musiały stać z tyłu i się przyglądać, więc tak zrobiłem – jego głos był podejrzanie radosny, jakby opowiadał o dobrym filmie, który niedawno widział.  
– Mężczyźni musieli walczyć. I widziałem tam ciebie, tato. Też musiałeś walczyć.

Spróbuj usłyszeć coś takiego i utrzymać prosto kierownicę. Pisk opon, który się nagle rozległ, wydał się nienaturalnie długi.

Znowu dotknęliśmy tematu nieba. Wcześniej Colton mówił o przeszłości i widział zmarłych w teraźniejszości. Teraz twierdził, że oprócz tego wszystkiego miał okazję zobaczyć przyszłość. Zastanawiałem się, czy pojęcia przeszłości, teraźniejszości i przyszłości zostały ukute tylko na potrzeby ziemskie. Może w niebie czas nie płynie linearnie.

Miałem jednak pilniejsze wątpliwości do rozwiania.

– Powiedziałeś, że w niebie walczymy z potworami?

– Tak – Colton dopowiedział wesoło – takimi jak smoki i różne inne.

Nie jestem jednym z tych pastorów, który żeruje na prorocत्वach końca świata, ale pamiętam szczególnie jeden fragment z Apokalipsy św. Jana:

„I w owe dni ludzie szukać będą śmierci, ale jej nie znajdą, i będą chcieli umrzeć, ale śmierć od nich ucieknie. A wygląd szarańczy – podobne do koni uszykowanych do boju, na głowach ich jakby wieńce podobne do złota, oblicza ich jakby oblicza ludzi, i miały włosy jakby włosy kobiet, a zęby ich były jakby zęby lwów, i przody tułowi miały jakby pancerze żelazne, a łoskot ich skrzydeł jak łoskot wielokonnych wozów, pędzących do boju. I mają ogony podobne do skorpionowych oraz żądła; a w ich ogonach jest ich moc szkodzenia ludziom przez pięć miesięcy<sup>29</sup>”.

Przez wieki teologowie uważali, że ten fragment jest pewnym symbolem: może kombinacja różnych części ciała oznaczała jakiś kraj albo każda z nich oznaczała różne królestwa. Inni z kolei uważali, że „pancerze żelazne” wskazują na nowoczesne maszyny militarne, które Jan opisywał, nie mając do nich żadnego punktu odniesienia.

Ale może my, wyrafinowani dorośli, próbujemy skomplikować sprawy bardziej niż są. Może jesteśmy zbyt wykształceni i za „mądrzy”, by nazwać te stwory po prostu dziecięcym językiem: potwory.

– Hm... Colton, a czym walczę z potworami? – miałem nadzieję na czołg lub chociaż wyrzutnię raketową. Na coś, co mógłbym wykorzystać z odpowiedniego dystansu.

---

<sup>29</sup> Ap 9,6-10.

- Albo dostałeś miecz albo łuk i strzałę. Nie pamiętam dokładnie, którą z tych rzeczy
- Colton odpowiedział z uśmiechem.
- Mówisz, że muszę walczyć z potworami *mieczem*? – spochmurniałem.
- Tak, ale nie martw się – brzmiał uspokajająco. – Jezus wygrywa. Zrzuca szatana do Piekła. Widziałem to.

„Potem ujrzałem anioła, zstępującego z nieba, który miał klucz od Czeluści i wielki łańcuch w ręce. I pochwycił Smoka, Węża starodawnego, którym jest diabeł i szatan, i związał go na tysiąc lat. I wtrącił go do Czeluści, i zamknął, i pieczęć nad nim położył, by już nie zwodził narodów, aż tysiąc lat się dopełni. A potem ma być na krótki czas uwolniony. (...) A gdy się skończy tysiąc lat, z więzienia swego szatan zostanie zwolniony. I wyjdzie, by omamić narody z czterech narożników ziemi, Goga i Magoga, by ich zgromadzić na bój, a liczba ich jak piasek morski. Wyszli oni na powierzchnię ziemi i otoczyli obóz świętych i miasto umiłowane; a zstąpił ogień od Boga z nieba i pochłonął ich. A diabła, który ich zwodzi, wrzucono do jeziora ognia i siarki, tam gdzie są Bestia i Fałszywy Prorok. I będą cierpieć katusze we dnie i w nocy na wieki wieków<sup>30</sup>”.

Colton opisywał Armagedon i twierdził, że biorę udział w rozgorzałej podczas niego bitwie. W ciągu tych dwóch lat, kiedy Colton powiedział po raz pierwszy, że śpiewały my anioły w szpitalu, po raz enty zakręciło mi się w głowie. Jechałem dalej przez kilka kilometrów bez słowa, analizując nowe obrazy w mojej głowie. Poza tym uderzyła mnie nonszalancja Coltona. Miał takie podejście, jakby mówił: „Tato, w czym problem? Powiedziałem ci przecież: dotarłem do ostatniego rozdziału i dobrzy na pewno wygrywają”.

Chociaż to było pocieszające. Przemierzaliśmy przedmieścia Imperial, gdy w końcu postanowiłem przyjąć jego podejście do całej sprawy.

- Jeśli mówisz, że Jezus chce, żebym walczył, to będę – stwierdziłem.

Colton odwrócił się od okna, jego twarz przybrała poważny wyraz.

- Wiem, tato – powiedział – będziesz walczył.

## Rozdział dwudziesty siódmy

---

<sup>30</sup> Ap 20,1-3; 7-10.

## **Sami kiedyś zobaczymy**

Pamiętam, kiedy po raz pierwszy publicznie opowiedzieliśmy o doświadczeniu Coltona. Było to podczas wieczornego nabożeństwa 18 stycznia 2007 roku, w Kościele Wesleyańskim Mountain View w Colorado Springs. Podczas porannej mszy miałem kazanie o Tomaszu, który był zły, ponieważ wszyscy pozostali apostołowie, a nawet Maria Magdalena, widzieli powstałego ze zmarłych Chrystusa, a on nie. Historię tę opowiada ewangelia wg św. Jana:

„Ale Tomasz, jeden z Dwunastu, zwany Didymos, nie był razem z nimi, kiedy przyszedł Jezus. Inni więc uczniowie mówili do niego: „Widzieliśmy Pana!”

Ale on rzekł do nich: «Jeżeli na rękach Jego nie zobaczę śladu gwoździ i nie włożę palca mego w miejsce gwoździ, i nie włożę ręki mojej do boku Jego, nie uwierzę».

A po ośmiu dniach, kiedy uczniowie Jego byli znowu wewnątrz [domu] i Tomasz z nimi, Jezus przyszedł mimo drzwi zamkniętych, stanął pośrodku i rzekł: «Pokój wam!» Następnie rzekł do Tomasza: «Podnieś tutaj swój palec i zobacz moje ręce. Podnieś rękę i włoż [ja] do mego boku, i nie bądź niedowiarkiem, lecz wierzącym!».

Tomasz Mu odpowiedział: «Pan mój i Bóg mój!».

Powiedział mu Jezus: «Uwierzyłeś dlatego, ponieważ Mnie ujrzałeś? Błogosławieni, którzy nie widzieli, a uwierzyli»<sup>31</sup>».

Od tej historii pochodzi powszechnie znany termin „niewierny Tomasz”, czyli ktoś, kto nie chce uwierzyć w coś, nie mając fizycznego dowodu lub bezpośredniego osobistego doświadczenia. Innymi słowy: osoba pozbawiona wiary.

Tamtego ranka w kazaniu mówiłem o własnej złości i braku wiary, o burzliwych chwilach, które przeszedłem w małej szpitalnej klitce, wściekając się na Boga, oraz o tym, jak Bóg wrócił do mnie przez mojego syna, mówiąc „Tu jestem”.

Ludzie, którzy rano uczestniczyli w nabożeństwie, opowiedzieli swoim znajomym, że pastor i jego żona, których syn był w niebie, opowiedzą więcej o tej historii podczas wieczornej mszy. Wieczorem kościół był nabity. Colton, wtedy już siedmiolatek, siedział w drugim rzędzie razem ze swoim bratem i siostrą, podczas gdy ja i Sonja opowiadaliśmy o jego doświadczeniu najlepiej, jak tylko umieliśmy, w wyznaczonym czasie czterdziestu pięciu

---

<sup>31</sup> J 20,24-29.

minut. Mówiliśmy o Popie i spotkaniu z nienarodzoną siostrą, a potem przez następny trzy kwadransy odpowiadaliśmy na pytania.

Po niecałym tygodniu od powrotu do Imperial, siedziałem przy komputerze w domu, sprawdzając e-maila, gdy zobaczyłem wiadomość od rodziny, u której zatrzymaliśmy się podczas wizyty w Kościele Wesleyańskim Mountain View. Nasi gospodarze mieli znajomych, którzy byli w kościele wieczorem podczas naszej opowieści, i usłyszeli opis Nieba według Coltona. Postanowili przesłać nam przez naszych przyjaciół e-maila o reportażu CNN, który był transmitowany dwa miesiące wcześniej w grudniu 2006 roku. Była to historia o młodej litewsko-amerykańskiej dziewczynie, Akiane Kramarik, mieszkającej w Idaho. Dwunastoletnia Akiane zaczęła mieć „wizje” nieba w wieku czterech lat. Jej opis niebios był bardzo podobny do relacji Coltona, więc znajomi naszych gospodarzy pomyśleli, że będziemy zainteresowani reportażem.

Kliknąłem na linka, gdzie wyświetlił mi się trzyminutowy materiał ze spokojną muzyką klasyczną w tle. Z ekranu dobiegał męski głos: „Artystka samouk, która twierdzi, że jej inspiracja płynie «z góry». Uduchowione i pełne emocji obrazy tworzy dwunastoletnie cudowne dziecko<sup>32</sup>”.

Dziewczynka miała rację. Głos wionoczeł się w tle, a na ekranie pokazano obrazy anielskich postaci, idyllicznych widoków oraz profil mężczyzny, który z pewnością był Chrystusem. Na następnym ujęciu widać było młodą artystkę wypełniającą kolorami płótno. Zdawało się, że obrazów nie mogła narysować nastolatka, ani nawet dorosły uczący się rysować portrety, ponieważ były to wyrafinowane dzieła sztuki, które mogły zawisnąć w galerii.

Narrator opowiadał, że Akiane zaczęła malować, gdy miała sześć lat, ale w wieku czterech lat „zaczęła opisywać matce swoje wizyty w niebie”.

Wtedy Akiane przemówiła w materiale po raz pierwszy:

– Wszystkie te kolory były nie z tego świata – opisywała niebo. – Tam są setki milionów kolorów, o których nie mamy pojęcia, że istnieją.

Narrator ciągnął opowiadał dalej, że matka dziewczynki jest ateistką i że w domu nigdy się nie rozmawiało o Bogu. Rodzina nie oglądała telewizora, a Akiane nie chodziła do przedszkola, więc gdy jako dziecko zaczęła snuć historie o niebie a potem je rysować i malować, jej matka wiedziała, że nie mogła tego od kogoś usłyszeć. Stopniowo mama

---

<sup>32</sup> Akiane Kramarik, *Akiane: Her Life, Her Art, Her Poetry* (Akiane: jej życie, jej sztuka, jej poezja), Nashville; Thomas Nelson, 2006.

dziewczynki zaczynała akceptować, że wizje jej córki są prawdziwe, a co za tym idzie, że Bóg musi istnieć naprawdę.

– Myślę, że Bóg wie, której rodzinie daje nasze dzieci – komentowała pani Kramarik.

Pamiętam, co Jezus powiedział swoim uczniom, gdy próbowali utrzymać jakiegoś dziecka z dala od niego, by mu nie przeszkadzały: „Pozwólcie dzieciom przychodzić do Mnie<sup>33</sup>”.

Zachowałem sobie w pamięci na poczet przyszłych kazań historię Akiane’y, która pokazuje, że Bóg może przyjść do każdego wszędzie i w każdym wieku – nawet do czteroletniej dziewczynki, wychowującej się w domu, w którym nigdy się o nim nie mówiło.

Ale to nie była lekcja, którą tego dnia miał dla mnie Bóg.

Na ekranie mojego komputera wyświetlały się kolejne obrazy dziewczynki, a głos komentował: „Akiane opisuje Boga tak samo żywo, jak go maluje”.

Po tych słowach ukazało się zbliżenie na twarz Chrystusa. Widziałem już podobny wizerunek, tylko teraz Jezus patrzył się, że tak się wyrażę, prosto w obiektyw.

– On jest czysty – mówiła Akiane. – Jest bardzo męski, naprawdę silny i duży. A jego oczy są po prostu piękne.

Prawie trzy lata minęły od operacji Coltona i niecałe dwa i pół roku, kiedy po raz pierwszy opisał Jezusa. Uderzyło mnie podobieństwo między wspomnieniami Akiane i jego: wszystkie kolory w niebie..., a szczególnie opis oczu Jezusa.

– A jego oczy – mówił wtedy Colton – tato, jego oczy są śliczne!

Zwrócili uwagę na ciekawy szczegół. Gdy reportaż CNN dobiegł końca, cofnąłem film do miejsca, gdzie pojawił się drugi portret Jezusa, zdumiewająco realistyczny obraz namalowany przez Akiane w wieku ośmiu lat. Oczy były faktycznie uderzające – jasne, zielonkawo-niebieskie pod grubymi, ciemnymi brwiami, a połowa twarzy ukryta w cieniu. Zauważyłem, że jego włosy były nieco krótsze niż większość artystów to przedstawia. Broda także była inna, jakby pełniejsza... bardziej... sam nie wiem... zwyczajna.

Od 2003 roku obejrzelśmy dosłownie tuziny portretów Jezusa, ale Colton żadnego nie uznał za prawdziwy.

„Zobaczmy, co sądzi o portrecie namalowanym przez Akiane”, pomyślałem.

Krzyknąłem na Coltona, żeby zszedł na dół do mojego biura w piwnicy.

– Już idę! – padła odpowiedź.

Colton z rumorem zbiegł po schodach i wsadził głowę do pokoju:

– Tak, tato?

---

<sup>33</sup> Mk 10,14



– Spójrz na to – powiedziałem, wskazując głową mój komputer. – Co jest nie tak z tym portretem?

Spojrzał na ekran i przez dłużą chwilę się nie odzywał.

– Colton?

Ale on ciągle stał, uważnie oglądając obraz. Nic nie mogłem wyczytać z jego twarzy.

– Co jest nie tak z tym obrazem? – powtórzyłem pytanie.

Kompletna cisza.

– Colton? – szturchnąłem go za ramię.

W końcu mój siedmiolatek spojrzał na mnie i oznajmił:

– Tato, ten portret się zgadza.

\*\*\*

Biorąc pod uwagę, ile obrazów Colton odrzucił, mieliśmy z Sonją poczucie, że w końcu dzięki portretowi Akiane zobaczyliśmy twarz Jezusa albo chociaż jego uderzające podobieństwo.

Byliśmy pewni, że żaden obraz nigdy nie uchwyci majestatu zmartwychwstałego Chrystusa. Jednak po trzech latach studiowania wizerunków Jezusa, wiedzieliśmy, że portret Akiane'y nie tylko odbiegał od typowych sposobów przedstawiania go, ale także jako jedyny przykuł uwagę Coltona. To ciekawe, że, gdy uznał obraz za właściwy, nie widział wcześniej rysunku pod tytułem „Książę pokoju: Zmartwychwstanie”, który został narysowany przez inne dziecko, utrzymujące, że widziało niebo.

Ostatecznie wyobrażenie, jak wygląda Jezus, nie było najbardziej interesującą rzeczą, która wyniknęła po wizycie w Kościele Wesleyańskim Mountain View. Zdaliśmy wtedy sobie po raz pierwszy sprawę, że spotkanie Coltona z siostrą w niebie może wpłynąć na ludzi na ziemi.

Po nabożeństwie tego pamiętnego wieczora w styczniu 2007 roku, podeszła do mnie młoda matka. Jej oczy przepełnione były łzami.

– Straciłam dziecko – powiedziała. – Urodziła się martwa. Czy twój syn wiedział, czy moja mała jest w niebie?

Głos kobiety drżał i cała się trzęsła. „O Panie, kim jestem, żeby odpowiedzieć na to pytanie” – pomyślałem.

Colton mówił, że w niebie było mnóstwo dzieci. Ale przecież nie mogłem podejść do niego i zapytać, czy widział dziecko tej pani. Nie chciałem też zostawić jej tak z jej żalem.

Wtedy mały chłopiec, na oko sześćioletni, podszedł do nas i stanął za nią, trzymając się jej spódnicy. W tamtej chwili odpowiedź sama do mnie przyszła.

– Wierzy pani, że Bóg mnie kocha? – zapytałem.

– No tak... – powstrzymała łzy.

– Czy wierzy pani, że kocha panią tak mocno jak mnie?

– Tak, tak, wierzę.

Wtedy wskazałem głową jej małego synka wczepionego w spódnicę.

– Czy wierzy pani, że Bóg kocha pani synka tak mocno jak Coltona?

Zamilkła na moment, by przemyśleć pytanie.

– Tak, oczywiście. – odparła.

– Jeśli wierzy pani, że Bóg kocha panią tak samo jak mnie, i wierzy pani, że kocha pani żyjącego syna tak mocno jak mojego, to czy nie wierzy pani, że kocha tak samo pani nienarodzone dziecko jak moje?

– Nigdy nie pomyślałam o tym w ten sposób – w końcu przestała się trząść.

Wyszeptałem modlitwę dziękczynną do Ducha Świętego, który wyraźnie „obdarzył mnie mocą”, podsuwając mi odpowiedź dla tej zrozpaczonej kobiety, ponieważ mogę wam się teraz przyznać, że nie jestem wystarczająco bystry, by na nią wpaść.

To nie był pierwszy raz, kiedy historia Coltona stawiała mnie lub Sonję w obliczu poszukiwania odpowiedzi na wielkie pytania. Czasami jednak ludzie, którzy przeszli z nami przez to doświadczenie, odpowiadali sobie sami na niektóre znaki zapytania.

Jak już wspominałem, zanim zostaliśmy wypisani ze szpitala w North Platte, pielęgniarki wchodziły i wychodziły z sali Coltona. Wcześniej, gdy przychodziły, sprawdzały jego narządy wewnętrzne i wypisywały wyniki badań w karcie szpitalnej. Teraz jednak przychodziły, nie mając ku temu żadnego medycznego powodu – po prostu patrzyły na tego małego chłopca, który jeszcze dwa dni temu był poza zasięgiem współczesnej medycyny, a który teraz siedział na łóżku, rozmawiał i bawił się swoją nową zabawką – wypchanym lwem. Podczas jednej z takich wizyt, pewna pielęgniarka odciągnęła mnie na bok:

– Czy mogę z panem zamienić kilka zdań, panie Burpo?

– Pewnie – odpowiedziałem.

Wskazała salę po przeciwnej stronie korytarza.

– Porozmawiajmy tam.

Poszedłem za nią do małego pokoju, zastanawiając się, co się dzieje. Zamknęła za sobą drzwi i zwróciła się twarzą do mnie. Na jej twarzy malowała się blask, jakby coś nowego właśnie w niej samej rozkwitło.

– Panie Burpo, pracowałam w tym szpitalu wiele lat – powiedziała. – Miałam panu tego nie mówić, ale zakazano nam dawać pana rodzinie jakąkolwiek nadzieję. Myśleli, że Colton nie przeżyje. A kiedy nam to mówią, to z reguły tak się dzieje.

Zawahała się przez chwilę; a potem szybko mówiła dalej.

– Ale widok pana chłopca dzisiaj w dużo lepszym stanie, to cud. Musi być Bóg, bo to jest cud.

Podziękowałam jej, że się ze mną podzieliła przemyśleniami, a potem powiedziałam:

– Chcę, żeby pani wiedziała, że my wierzymy, że to był Bóg. Nasz kościół zebrał się razem i modlił się za Coltona w ostatni piątek. Wierzymy, że Bóg odpowiedział na nasze modlitwy.

Pielęgniarka wpatrywała się przez moment w podłogę, potem podniosła wzrok na mnie i uśmiechnęła się.

– No tak, chciałam po prostu to panu powiedzieć.

Po tych słowach odeszła. Chyba nie chciała wysłuchać kazania od pastora. Jednak faktem jest, że go nie potrzebowała – bo Go sama zobaczyła.

Gdy opowiadaliśmy o doświadczeniu Coltona w niebie, ludzie mówili nam, że „Bóg pobłogosławił naszą rodzinę”.

To prawda, jeśli ma się na myśli okazję zerknięcia za kotarę, która oddziela ziemię od wieczności.

Jednak czasami mówię do siebie: „Pobłogosławił?! Nasz syn prawie nie umarł!”.

Fajnie się opowiada o niebie, tronie Boga, Jezusie, Popie i o córce, którą myśleliśmy, że straciliśmy, ale któregoś dnia znów spotkamy. Jednak nie jest fajnie mówić, jak do tych opowieści doszło. Na wspomnienie tych okropnych dni, kiedy życie Coltona wisiało na włosku, ciągle chce nam się płakać. Dwie historie: wizyta w niebie oraz niemal utrata naszego syna stanowią dla nas jedno wydarzenie.

Jako dziecko zawsze zastanawiałem się, dlaczego ukrzyżowanie Jezusa było taką wielką sprawą. Jeśli Bóg Ojciec wiedział, że jego syn zmartwychwstanie, to jaka to była ofiara? Teraz w końcu rozumiem, dlaczego Bóg nie uważa świąt jako pewnego końca, pustego grobu. Zrobiłbym wszystko, *wszystko*, żeby zatrzymać cierpienie Coltona, nawet gotowy byłbym zamienić się z nim miejscami.

Pismo Święte mówi, że gdy Jezus oddał życie na krzyżu, Bóg Ojciec odwrócił się od niego. Jestem przekonany, że zrobił tak, ponieważ nie był w stanie się temu wszystkiemu przyglądać.

Czasami ludzie mnie pytają: „Czemu Colton? Dlaczego przydarzyło się to twojej rodzinie?”. Wiele razy musiałem odpowiadać:

– Jesteśmy zwyczajnymi ludźmi z zapadłej dziury w Nebrasce. Najlepsze, co możemy zrobić, to opowiedzieć wam, co nam się przytrafiło i mieć nadzieję, że was to zainspiruje, jak pielęgniarkę z North Platte, które musiała zobaczyć cud, żeby uwierzyć, że jest Ktoś większy niż my sami. Albo kobieta w Kościele Wesleyańskim Mountain View, która potrzebowała trochę nadziei, żeby poradzić sobie ze swoim żalem i gniewem. Albo Sonja, która musiała wyleczyć ranę po stracie córki. Albo moja mama, Kay, która po dwudziestu ośmiu latach w końcu dowiedziała się, że pewnego dnia spotka się ze swoim ojcem.

Nauki o niebie w Apokalipsie św. Jana i innych księgach są niekompletne. Jako pastor zawsze byłem bardzo świadomy tego, co przekazuję o niebie z ambony. Uczę tego, co wyczytam w Piśmie Świętym.

Miałem wiele pytań, na które nie znalazłem odpowiedzi, więc nie zastanawiałem się nad niebem osobiście. Ale teraz to robię. I Sonja też. Wiele ludzi mówiło nam, że odkąd poznali historię Coltona, zaczęli się bardziej nad nim zastanawiać. Ciągłe nie mamy wszystkich odpowiedzi, nawet się do nich nie zbliżyliśmy. Mamy jednak już pewien obraz w głowie, na który możemy spoglądać i się nim zachwycać.

Uwielbiam słowa, których użyła moja mama podsumowując tę historię:

– Odkąd to się stało – powiedziała mi – więcej się zastanawiam, jak jest naprawdę w niebie. Wcześniej przyjmowałam do wiadomości, że jest niebo, ale nigdy go sobie nie wyobrażałam. Wcześniej o tym słyszałam, a teraz wiem, że kiedyś je zobaczę.

## Epilog

Minęło ponad siedem lat od czasu, gdy zwykła rodzinna wycieczka zamieniła się w podróż do nieba, która odmieniła nasze życie. Ludzie często pytają nas, dlaczego czekaliśmy tak długo z opowiedzeniem historii Coltona. Jest kilka powodów. Po pierwsze, chociaż minęło siedem lat od pobytu w szpitalu, nasza jazda z Greeley do doktora w Imperial okazała się tylko początkiem historii. Jak zdążyliście przeczytać, dowiadaliśmy się o niesamowitej podróży Coltona w kawałkach na przestrzeni kilku lat. Minęło kilka lat odkąd otarł się o śmierć, ale reszta historii ujawniała się powoli.

Kiedy w końcu podzieliliśmy się z innymi tym, co się stało, wielu mówiło nam, że powinniśmy napisać książkę. A my z Sonją reagowaliśmy na to jednym zdaniem: „My? Książkę? Nie ma mowy”.

Przede wszystkim nie mogliśmy sobie wyobrazić, że ktoś chciałby o nas poczytać. Potem doszedł do tego problem napisania samej książki. To wydawało nam się wyzwaniem niewiele mniejszym niż lot na Księżyc. Co prawda ja redagowałem gazetkę uniwersytecką, a Sonja dużo pisała w trakcie tworzenia pracy magisterskiej, ale mieliśmy przecież prace, które bardzo lubiliśmy, małe dzieci na wychowaniu oraz kościół, o który musieliśmy dbać. Poza tym czasami trzeba jeszcze spać. Dopiero gdy znajomy pastor, Phil McCallum zaoferował pomoc i zorganizował ludzi ze świata wydawniczego, uwierzyliśmy, że możemy zrealizować projekt napisania książki. Nawet podjęcie tej decyzji zabrało nam trochę czasu.

Bardzo martwiliśmy się o Coltona. Wielu ludzi twierdzi, że uwielbia jego historię z powodu wielu szczegółów opowiadających o niebie. Nam też się to podoba. Ale oprócz tego jest jeszcze część dotycząca szpitala, gdzie przeżyliśmy koszmar i doświadczyliśmy cierpienia, co zdawało się trwać wiecznie. To był delikatny temat i nie byliśmy pewni, jak ujawnienie go wpłynie na Coltona. Jak zniósłby tę uwagę? Martwiliśmy się i ciągle martwimy o to. Pochodzimy z małych miasteczek, małych szkół i kościołów. Colton zna słowo „mały”, ale nie jesteśmy pewni, czy rozumie pojęcie „być w centrum uwagi”.

Teraz oczywiście książka została napisana. Sonja ostatnio żartowała, że możemy sobie dopisać pozycję „zostać autorem” do listy rzeczy do osiągnięcia i spokojnie je już wykreślić.

Ludzie zadają nam jeszcze mnóstwo pytań. Szczególnie dzieci chcą wiedzieć, czy Colton widział jeszcze jakieś zwierzęta w niebie. Odpowiedź brzmi: tak! Oprócz konia Jezusa zobaczył jeszcze psy, ptaki, a nawet lwa, który nie był agresywny, ale bardzo przyjazny.

Z kolei nasi znajomi, którzy są katolikami, pytają, czy Colton spotkał Maryję, matkę Jezusa. Odpowiedź na to pytanie również brzmi: tak! Widział ją klęczącą przed tronem Boga oraz innym razem stojącą obok Jezusa.

– Ciągle kocha go jak mama – stwierdził Colton.

Kolejne pytanie, które ludzie nam ciągle zadają, to jak zmieniło nas doświadczenie Coltona. Sonja zawsze wtedy odpowiada, że nas złamało. Pastorzy i ich rodziny najlepiej czują się w roli pomagających, a nieotrzymujących pomoc. To my zawsze odwiedzaliśmy chorych, przynosiliśmy posiłki lub opiekowaliśmy się dziećmi. A sami polegaliśmy tylko na sobie i byliśmy z tego bardzo dumni. Wyczerpujący pobyt w szpitalu złamał naszą dumę jak suchą gałązkę i nauczył nas pokory i przyjmowania od innych pomocy fizycznej, emocjonalnej i finansowej.

Dobrze jest być silnym i obdarzać innych pomocą. Jednak my nauczyliśmy się, że bezbronność i bezradność pozwala innym odnaleźć w sobie siłę, by nam pomóc. Ta pomoc była dla nich również drogą do wzrostu.

Poza tym dzięki historii Coltona staliśmy się odważniejsi. Żyjemy w czasach, gdy ludzie podważają istnienie Boga. Z racji tego, że jestem pastorem, zawsze dobrze się czułem, gdy mówiłem o swojej wierze, a teraz do tego opowiadam o tym, co się przydarzyło mojemu synowi. To jest prawda i ja o tym mówię i już.

Tymczasem w Imperial życie naszej rodziny toczy się dalej, niczym nie różniąc się od życia innych rodzin w małych amerykańskich miasteczkach. Cassie ma trzynaście lat i jesienią idzie do szkoły średniej. Wczoraj miała wielki dzień: brała udział w przesłuchaniu do szkolnego chóru. Naszego najmłodszego syna, Colby'ego, również czeka wielka zmiana: w tym roku idzie do zerówki, co jest dla niego bardzo dobrym rozwiązaniem, ponieważ czasami przyprawiał już panie z przedszkola o ból głowy.

A Colton skoczy w tym miesiącu jedenaście lat i we wrześniu pójdzie do piątej klasy. Jest pod każdym względem normalnym dzieckiem. Bierze udział w zapasach i gra w baseball. Poza tym gra też na pianinie i trąbce, ale nie przepada za szkołą i twierdzi, że jego ulubionym przedmiotem jest przerwa. Od czasu do czasu opowiada o niebie, ale już nie wybrał się w podobną podróż, ani też nie ma specjalnej łączności z wiecznością. Pomimo niezemskiej wycieczki, jego relacje z rodzeństwem są jak najbardziej normalne. Colby chodzi za Coltonem krok w krok, jak każdy młodszy brat i jak bracia kłócą się o figurki superbohaterów. Cassie natomiast jest odwiecznie cierpiącą starszą siostrą, co doskonale ilustruje wymiana zdań, do jakiej doszło, gdy próbowaliśmy wymyślić dobry tytuł dla tej książki.

Moja sugestia: „Niebo razy cztery”.

Sugestia Sonji: „Niebo według Coltona”.

Sugestia Cassie: „Wrócił, ale aniołkiem nie jest”.

Ostatecznie na tytuł wpadł niechący Colton. W okolicy świąt Bożego Narodzenia 2009 roku pojechaliśmy do Teksasu, gdzie siedzieliśmy razem z naszą redaktorką w Starbucksie w Dallas, żeby przedyskutować książkę. W pewnym momencie spojrzała na naszego najstarszego syna i zapytała:

– Colton, a co ty chcesz, żeby ludzie dowiedzieli się z twojej historii?

Patrząc jej prosto w oczy, odparł bez wahania:

– Chcę, żeby wiedzieli, że niebo istnieje naprawdę.

Todd Burpo  
Imperia, Nebraska  
Maj 2010

## **Chronologia wydarzeń**

**Lipiec 1976 r.** – dziadek Todda Burpo, którego nazywa „Pop” (Lawrence Edelbert Barber) ginie w wypadku samochodowym pomiędzy Ulysses i Liberal w stanie Kansas.

**1982 r.** – W wieku trzynastu lat Todd czuje, że Chrystus powołał go do posługi Bożej jako pastora.

**29 grudnia 1990 r.** – ślub Todda i Sonji Burpo.

**16 sierpnia 1996 r.** – narodziny Cassie Burpo, starszej siostry Coltona.

**Lipiec 1997 r.** – Pastor Todd i Sonja Burpo przyjmują wezwanie do pracy duszpasterskiej w Kościele Wesleyańskim Crossroads w Imperial w stanie Nebraska.

**20 czerwca 1998 r.** – Sonja Burpo roni drugie dziecko w drugim miesiącu ciąży.

**19 maja 1999 r.** – narodziny Coltona Burpo.

**Sierpień 2002r.** – Todd roztrzaskuje sobie nogę podczas turnieju ligi mieszanej softballu.

**Październik 2002 r.** – Todd choruje na kamice nerkową.

**Listopad 2002 r.** – Todd wyczuwa guza w piersi, który zostaje błędnie zdiagnozowany jako rak.

**27 lutego 2003 r.** – Colton narzeka na ból brzucha i ma wysoką gorączkę, co zostaje także błędnie zdiagnozowane jako grypa żołądkowa.

**28 lutego 2003 r.** – Coltonowi przechodzi gorączka. Jego rodzice się cieszą, myśląc, że chłopiec wraca do zdrowia, a tak naprawdę jest to znak, że pękł jego wyrostek robaczkowy.

**1 marca 2003 r.** – Rodzina Burpo odwiedza Pawilon Motyli Tropikalnych w Denver, by uczcić powrót Coltona do zdrowia. W nocy chłopiec zaczyna intensywnie wymiotować.

**3 marca 2003 r.** – Coltona bada lekarz w Imperial w stanie Nebraska, który odrzuca diagnozę o wrostku robaczkowym.

**5 marca 2003 r.** – Todd i Sonja na żądanie wypisują syna ze szpitala w Imperial w stanie Nebraska i zabierają go samochodem do North Platte, Regionalnego Centrum Medycznego Great Plains. Doktor Timothy O’Holleran przygotowuje się do operacji.

**5 marca 2003 r.** – Colton przechodzi pierwszą operację chirurgicznego usunięcia wyrostka robaczkowego.

**13 marca 2003 r.** – Colton zostaje wypisany ze szpitala. Jednak gdy wchodzi z rodzicami do windy, doktor O’Holleran woła do nich w korytarzu, żeby wrócili. Testy krwi wykazały, że w organizmie Coltona wzrósł poziom białych krwinek. Tomograf komputerowy pokazuje dwa ropnie w jego żołądku.

**13 marca 2003 r.** – Colton przechodzi drugą operację – nacięcie jamy brzusznej, w celu odsączenia ropni. Podczas operacji znaleziono ich trzy.

**17 marca 2003 r.** – doktor O’Holleran oznajmia Toddowi i Sonji, że nic więcej nie może zrobić, by ratować Coltona. Doradza przeniesienie chłopca do Dziecięcego Szpitala w Denver. Zamieć śnieżna blokuje wszelkie możliwości przejazdu lub wylotu. Zasy sięgają pół metra. W Imperial wspólnota zbiera się na wspólną modlitwę w intencji Coltona.

**18 marca 2003 r.** – następnego ranka stan zdrowia Coltona znacznie się poprawia i wkrótce zaczyna się bawić jak zdrowe dziecko. W podskokach udaje się na tomograf komputerowy, który nie wykazuje żadnych zmian chorobowych.

**19 marca 2003 r.** – po siedemnastu ciężkich dniach rodzina Coltona wraca do domu w Imperial.

**3 lipca 2003 r.** – w czasie podróży do kuzynostwa w Dakocie Południowej, na postoju na parkingu w North Platte, Colton mówi po raz pierwszy o niebie i sukcesywnie opowiada coraz więcej historii o swoich tam przygodach.

**Październik 2004 r.** – narodziny Colby’ego Burpo, młodszego brata Coltona.

**19 maja 2010 r.** – Colton Burpo kończy jedenaście lat. Jest całkowicie zdrowy.

## **O rodzinie Burpo**

Todd Burpo jest pastorem Kościoła Wesleyańskiego Crossroads (Crossrads Wesleyan Church) w Imperial w stanie Nebraska (populacja w 2008 wynosiła 1762 mieszkańców), gdzie jego kazania są nadawane każdej niedzieli przez lokalną radiostację. Pracuje także w zespole szkół Chase County Public Schools jako trener zapasów dla gimnazjalistów i licealistów, zasiada też w radzie szkoły. W sytuacjach kryzysowych Todd pracuje ramię w ramię z Ochotniczą Strażą Pożarną w Imperial (Imperial Volunteer Fire Department) jako strażak. Jest także kapelanem Związku Ochotniczej Straży Pożarnej Stanu Nebraska



(Nebraska State Volunteer Firefighter's Association). By utrzymać rodzinę, Todd prowadzi także własną firmę Overhead Door Specialists, montującą bramy garażowe. W 1991 roku obronił z wyróżnieniem pracę licencjacką z teologii na Oklahoma Wesleyan University.

Sonja Burpo jest mamą Cassie, Coltona i Colby'ego oraz pracuje jako kierownik biura w firmie Moreland Realty. Uzyskała licencjat z nauczania początkowego oraz tytuł magistra z bibliotekoznawstwa i informatyki na Oklahoma Wesleyan University. Jest także dyplomowanym nauczycielem w stanie Nebraska. Uczyła w szkołach publicznych w Oklahomie i Imperial. Sonja poświęca wiele czasu i uwagi duszpasterstwu dzieci oraz pracuje wraz z Toddem w jego firmie montującej bramy garażowe.

## O Lynn Vincent

Lynn Vincent jest według „The New York Times” autorką takich bestsellerów jak *Same Kind of Different as Me*, historii o nieprawdopodobnej przyjaźni pomiędzy zamożnym białym handlarzem sztuki a bezdomnym Afroamerykaninem; oraz *Going Rogue: An American Life*, opowieści o byłej gubernator Alaski i kandydatce na wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych Sarze Palin.

Na swoim koncie ma dziewięć książek (część z nich napisała we współpracy). Przez dziewięć lat pracowała też jako dziennikarka, a potem redaktor działu reportażu w dwutygodniku WORLD Magazine, gdzie pisała o polityce, kulturze i bieżących wydarzeniach. Jest weteranem marynarki Stanów Zjednoczonych. Poza tym prowadzi wykłady z pisania na World Journalism Institute i w The King's College w Nowym Jorku. Mieszka w San Diego w Kalifornii.

By dowiedzieć się więcej o rodzinie Burpo, historii Coltona i najnowszych wydarzeniach, zajrzyj na [www.heavenisforreal.net](http://www.heavenisforreal.net)

## Spis treści

PODZIĘKOWANIA.....	Error: Reference source not found
Prolog: Anioły w fastfoodzie.....	Error: Reference source not found
1. <u>Pełzaj i podglądaj</u> .....	Error: Reference source not found
2. <u>Pastor Hiob</u> .....	Error: Reference source not found
3. <u>Colton daje radę</u> .....	Error: Reference source not found
4. <u>Sygnaly dymne</u> .....	Error: Reference source not found
5. <u>Cień śmierci</u> .....	Error: Reference source not found
6. <u>Szpial w North Platte</u> .....	Error: Reference source not found
7. <u>„To chyba już koniec”</u> .....	Error: Reference source not found
8. <u>Wściekłość na Boga</u> .....	Error: Reference source not found
9. <u>Żółwie minuty</u> .....	Error: Reference source not found
10. <u>Nietypowe modlitwy</u> .....	Error: Reference source not found
11. <u>Colton Burpo, kwestarz</u> .....	Error: Reference source not found
12. <u>Naoczny świadek</u> .....	Error: Reference source not found
13. <u>Światła i skrzydła</u> .....	Error: Reference source not found
14. <u>W czasie niebieskim</u> .....	Error: Reference source not found
15. <u>Spowiedź</u> .....	Error: Reference source not found
16. <u>Pop</u> .....	Error: Reference source not found
17. <u>Dwie siostry</u> .....	Error: Reference source not found
18. <u>Sala tronowa Boga</u> .....	Error: Reference source not found
19. <u>Jezus naprawdę kocha dzieci</u> .....	Error: Reference source not found
20. <u>Życie i umieranie</u> .....	Error: Reference source not found
21. <u>Pierwsza osoba, którą spotkasz</u> .....	Error: Reference source not found
22. <u>W niebie nikt nie jest stary</u> .....	Error: Reference source not found
23. <u>Moc z góry</u> .....	Error: Reference source not found
24. <u>Przeżycie Ali</u> .....	Error: Reference source not found
25. <u>Miecz aniołów</u> .....	Error: Reference source not found
26. <u>Nadchodząca walka</u> .....	Error: Reference source not found
27. <u>Sami kiedyś zobaczymy</u> .....	Error: Reference source not found
Epilog.....	Error: Reference source not found
Chronologia wydarzeń.....	Error: Reference source not found
O rodzinie Burpo.....	Error: Reference source not found
O Lynn Vincent.....	Error: Reference source not found